

MIESIĘCZNIK DLA RODZIN KATOLICKICH

LUTY
1950
ROK V.



POD OPIEKĄ
S'W. JÓZEFA

KALENDARZ LITURGICZNY

na miesiąc luty

Miesiąc poświęcony czci Najśw. Rodziny.

Intencja: Modlitwa za rodziny katolickie

1. Środa. Ś. Ignacego B. M. **Trzeci dzień nowenny do Ś. Józefa.**
2. **Czwartek. Oczyszczenie N. M. P. — II Kl.** (M. B. Gromnicznej).
3. Piątek. Ś. Telesfora Pp. M. Zak. Karmel., Ś. Błażeja B. M. **Nabożeństwo do Najśw. Serca P. Jezusa.**
4. Sobota. Ś. Andrzeja Korsini B. W. Zak. Karmel. **Nabożeństwo do Niepokalanego Serca N. Marii P.**
5. **Niedziela Siedemdziesiątnica (Staro-zapustna)** Ś. Agaty P. M.
6. Poniedziałek. Ś. Tytusa B. W., Ś. Doroty P. M.
7. Wtorek. Ś. Romualda Op.
8. Środa. Ś. Jana z Mathy W. **Czwarty dzień nowenny do Ś. Józefa.**
9. Czwartek. Ś. Cyryla B. Aleksandr. W. DK. Zak. Karmel. Ś. Apolonii P. M.
10. Piątek. Ś. Scholastyki P.
11. Sobota. Zjawienie się N. Marii P. Lourdes.
12. **Niedziela Sześćdziesiątnica (Mięso-pustna)** ŚŚ. Siedmiu Założycieli Serwitów.
13. Poniedziałek. Bł. Archangieli P. Zak. Karmel. Ś. Juliana M.
14. Wtorek. Ś. Walentego M.
15. Środa. ŚŚ. Faustyna i Jowity Mm., **Piąty dzień nowenny do św. Józefa.**
16. Czwartek. Ś. Julianny P. M.
17. Piątek. Ucieczki P. J. do Egiptu. Ś. Faustyny M., Ś. Donata M.
18. Sobota. Ś. Symeona B. M.
19. **Niedziela Pięćdziesiątnica (Zapustna)** Ś. Auksybiusza B. M.
20. Poniedziałek. Ś. Elenteriusza B.
21. Wtorek. Ś. Fortunata M.
22. Środa. **Popielec.** Katedry Ś. Piotra Ap. w Antiochii. **Szósty dzień nowenny do Ś. Józefa.**
23. Czwartek. Ś. Piotra Damiana B. W. DK., Wigilia Ś. Macieja Ap.
24. Piątek. **Ś. Macieja Ap. — II Kl.**
25. Sobota. Ś. Awertana W. Zak. Karm.
26. **Niedziela 1. Postu (Wstępna)** Ś. Aleksandra B.
27. Poniedziałek. Ś. Gabriela od M. B. Bolesnej W.
28. Wtorek. Ś. Romana Op.





POD OPIEKĄ + ŚW. JÓZEFA +

MYŚLI POPIELCOWE

Czy posypywanie głowy popiołem musi koniecznie myśli moje przytłoczyć grobowym smutkiem? Czy w pyłe ze spalonych zeszłorocznych palm chce może Kościół rozwiązać moje nadzieje i radości? Czy ten proch poświęcony ma zaproszyć mój wzrok radośnie spoglądający w obłoki? Czy jego sypkość i lotność ma być dla mnie szyderczym śmiechem: oto tyle z ciebie tylko zostanie, nic więcej, nic z twoich dzieł, nic z twoich ideałów, nic z twoich zachwytów, tęsknot, radości?

Jeśli tak było naprawdę, słusznie mógłbym dozwolić instynktowi samobrony przed śmiercią, aby mię uniósł daleko od myśli popielcowych. Lecz właśnie nie widzę, że Popielec wskrzesza moje najlepsze nadzieje a zabija smutek i wątplenie. On moje ufania uwalnia od nalciałości. On moje miłowania kieruje ku temu, co nie przemija. On moje tęsknoty odwraca od tego, co mię tak często niepodświadomym kunsztem omamień uwodzi, a wyprowadza ku pożądaniu szczęścia nieprzelotnego.

Święte popioły! Gdy myślę o nich, nabywam tej cennej umiejętności różnicowania rzeczy przemijających od nieprzemijających, śmiertelnych i doczesnych od wiecznych, cielesnych od duchowych. Bez tej znajomości nie można dobrze żyć. Posiadając tę umiejętność wprowadzam we wszystkie sprawy moje umiar. Odkrywszy wagę, i kładąc na jej szale wszelkie wartości, odkrywam, jako starać się winienem najpierw o to, co nie więdnije ani próchnieje, ani rdza gryzie.

Święte popioły każą mi następnie myśleć o tych różnych przemianach, jakie mam przeżyć: życie — śmierć — zmartwychwstanie. Obecnie przeżywam pierwszą przemianę, kiedy przez stwórczy akt Boga wyszedłszy z nicości raduję się bytami. Lecz czeka mię jeszcze druga przemiana, kiedy to w śmierci przez rozpad mej istoty stanę się wolnym od materii duchem. Więc popioły szepcą mi o tej jednej fazie przedziwnych przemian, metamorfoz, o tej, o której najczęściej zapominamy. A zapomnienie to jest niebezpieczne dla trzeciej i ostatecznej przemiany. Jeśli przygotuję sobie szczęśliwą drugą przemianę, szczęśliwą i chwalebna będzie owa ostatnia. Jeśli mało pamiętam o śmierci i skazaniu mego ciała na rozkład, to zbyttnio się o nie staram, a nawet w schlebianiu mu mogę łatwo zgrzeszyć, a stąd udaremnić chwalebne jego zmartwychwstanie. Moim jednak obowiązkiem jest tak żyć, tak miłować swoje ciało i duszę, aby owa trzecia przemiana dokonała się w całej pełni, blasku i chwale.

Apostoł mówi: „Wszyscy z martwych powstaniemy, lecz nie wszyscy odmienni będziemy“. Nie będą chwalebnie odmienni ci, którzy sobie tej odmiany nie wysłużą. Popielec otwiera ascezę Wielkiego Postu, która ma za zadanie ułatwić nam to przygotowanie. Pokuta, jak post, wstrzemięźliwość, milczenie, jałmużna, usunięcie się od zabaw — oto program pracy, którą mamy się oczyścić od nieporządnej i grzesznej miłości naszego ciała, oderwać od ziemi i wnieść w sferę wyższego życia. Wznioślejsza

myśl, czystsza miłość, bardziej uszczęśliwiająca radość — to owoce ascezy Wielkiego Postu, w którą wprowadza mię Popielec. Popielec i W. Post przyspasabiają mnie do tego chwalebnego przemienienia na całą wieczność.

Życie według myśli popielcowych wymaga, abym pamiętał o tym, co mię niechybnie ma spotkać i abym zawczasu już sobie umierał. „Jeśli ziarno padłszy w ziemię nie obumrze, samo zostaje, lecz jeśli obumrze, wielki owoc przynosi“ (Jan, XI, 24), „ku żywotowi wiecznemu“ (tamże, 25). Jestem więc ziarnem rzuc-

nym ręką Stwórcy w glebę tej ziemi, które nim przebijając skorupę powłoki cielesnej i nim strzeliłoby do słońca, musi wprawdzie umrzeć. Muszę pozwolić aby mię trud tej ziemi strawił całkowicie dla chwały Stwórcy. A wtedy będę mógł już ufać spokojnie w tę trzecią już chwalebną przemianę, metamorfozę, że z popiołów zmartwychwstanę odmieniony!

W jakiejże pięknej perspektywie stawiają moją przyszłość myśli popielcowe! Przez Popielec do Zmartwychwstania!

O. Otto k. b.

CZAS — NAJWIĘKSZA WARTOŚĆ DNIA

„Mam czas“, „masz czas, nie spiesz się!“ — te to wyrażenia są w codziennym użytkowaniu, do którego przywykliśmy bardzo. Na skutek tego przyzwyczajenia nikt jeden pożyteczny uczynek nie został spełniony, lecz zatrzymamy, zwłaszcza zaś w dziedzinie pracy nad sobą, w panowaniu i opanowaniu swego charakteru, w celu nastawienia go do czujnego słuchania natchnień Bożych.

Zastanówmy się bowiem: Czy my rzeczywiście mamy tj. posiadamy czas? Czy on nam nie ucieka, mija nas, szczególnie wtenczas, gdy nie umiemy czy nie chcemy z niego korzystać? Ależ on wyrывa się nam z rąk; znika „jak kamfora“, nie wraca, czego żałujemy serdecznie, jeśli nie potrafiliśmy zapisać go złotymi literami dobrych uczynków, co bynajmniej nie znaczy to samo, co „dobre interesa“. Dobre interesa, a dobre uczynki — to niekoniecznie wspólna sprawa! owszem, może być wyraźnie nawet krótkowo przedwina sprawa!...

Zapełnić czas, nie tracąc go bezmyślnie i bez pracy, na pustych słowach, bezplamowości, bezcelowości zajęć, wartościami na najdłuższą przestrzeń, — to nie lada sztuka! a raczej sztuka na sztuki! Święci, jak św. Teresa z Awiły, ten

niewzwykły Doktor Kościoła w spódnicy, czynili śluby, że nie będą tracić chwili czasu, w tym znaczeniu, że wszystko nastawiają na cele wieczności. Czynili śluby, że wybierać będą to, co doskonalsze, Bogu miłsze dla Jego chwały i przyjemności, nieraz nawet wbrew skłonnościom swej natury, wbrew swym uczuciom, choćby szlachetnym.

Wychodzą bowiem z tego założenia, że nie warto czasu trwonąć na przemijające błahostki, podczas gdy mamy go obracać wyraźnie na wzmocnienie chwały Bożej, na upiększanie własnej i bliźnich duszy najprzedniejszymi cnotami miłości bliźniego, kochając zarazem i własną duszę naprawdę: kochając własną duszę uczuciem najwyższej miłości, jaką kocha ją jej Stwórca.

Lubię podsłuchiwać wyznania umierających: Lękam się, że traciłem czas podczas życia!... Co uczyniłem z czasem, danym mi od Boga?... Jak mało czasu ofiarowałem własnej duszy, nie mówiąc już o duszach, powierzonych mej pieczy!...

A iluż z nas powie sobie w takiej chwili: Panie, słuchałem Cię Boże, idę ku Tobie! Otom się trudziłem wędle się do moich!...

B. K.

Powołanie do świętości

I

Sakrament chrztu świętego zapoczątkował w nas życie, którego wielkości i dostojenstwa należycie pojąć nie zdołamy. Człowiek nie tracąc swego życia naturalnego, otrzymuje życie nowe, nadprzyrodzone, które jest uczestnictwem w życiu i szczęściu Trójcy Świętej. Z tym nowym życiem otrzymuje też człowiek nowy organizm, aby to życie Boże podtrzymywać, rozwijać, doskonalić. Oprócz łaski uświęcającej, otrzymuje nowoochrzczony znajomość, przez którą staje się żywym członkiem mistycznego Ciała Chrystusa; nadto otrzymuje cnoty własne i dary Ducha Świętego, prawo do łask uczynkowych. To są wszystko przywileje i dary, lecz są także obowiązki, które przyjmuje na siebie każdy w dniu chrztu świętego.

Święty Paweł porównuje chrzest do pogrzebu w którym umiera stary człowiek, a zmartwychwstaje nowy na podobieństwo Chrystusa. „Czyż nie wszyscy, którzy w Chrystusie Jezusie jesteśmy ochrzczeni, w śmierci Jego zostaliśmy ochrzczeni? Zostaliśmy bowiem razem z nim pogrzebani w śmierć przez chrzest, aby jak Chrystus wstał z martwych przez chwałę Ojca, żebyśmy i my w nowości żywota chodzili“ (Rzym. 6, 3—4). Być chrześcijaninem to znaczy we wszystkim upodobnić się do Chrystusa, dążyć do rozwinięcia naszego życia nadprzyrodzonego aż do świętości heroicznej. Niestety w praktyce pokutuje błędne i nieszczerliwe przekonanie, że świętość nie jest ani obowiązkiem, ani powołaniem każdego ochrzczonego. Mówią tacy chrześcijanie, że Bóg powołuje wszystkich do zbawienia, ale nie do świętości. Świętość byłaby zarezerwowana tylko dla dusz zamkniętych w murach klasztorów, inni zaś muszą zadowolić się miernotą życia, nie roszcząc sobie prawa ani nadziei do takich wyso-

kości. Wypowiadają bez zająknięcia zadowolenie, jeśli im Opatrzność po długim pobycie w czyśćcu da jakiś kącik w niebie.

Taki sposób myślenia przynosi ujemne bogactwom Męki Pańskiej, obniża działanie łaski w duszach. Następnie brak ukochania wielkich ideałów pociąga w życiu miernotę duchową. Jeśli bowiem zważymy, że mimo wielkich postanowień i wysiłków tak trudno nieraz przychodzi realizacja naszych postanowień, to coż dopiero dzieje się w duszy która poprzestaje na małym? Gdy zaś otworzymy Ewangelię, to zobaczymy że nie tylko mamy dążyć do świętości, ale (do świętości bardzo wysokiej. „Bądźcie doskonałymi jak Ojciec niebieski doskonałym jest“ (Mt., 5, 49).

Cała Ewangelia Jezusa Chrystusa niczym innym nie jest, jak tylko jednym wielkim przykazaniem świętości. Kazanie na Górze, to streszczony kodeks świętości, który wymaga wprowadzić zaparcia i wysiłku, jednak zaraz jest nagrodzony błogosławieństwem w tym i przyszłym życiu. Lecz coż to jest świętość? Pewną jest rzeczą, że błędne mniemanie o świętości pochodzą w wielkiej mierze z błędnego pojęcia o świętości. Kiedy mówimy o świętości zaraz przywołujemy na pamięć rzeczy nadzwyczajne, łaski druzgocące, posłannictwo wzniosłe, długotrwałe dzieła, zachwycenia, wizje, działania cudów itd. Są to jednak rzeczy, które nie wchodzą w pojęcie świętości, i na szczęście są święci, którzy wielkich rzeczy nie zdziałali w swym życiu. Świętość, to nie innego, jak życie chrześcijańskie posunięte do stopnia heroicznego. Zostać świętym, to znaczy rozwijać życie Boże otrzymane na chrzcie świętym na wzór i z łaską Chrystusa. Dążyć do świętości, to znaczy przyswajać sobie wszyst-

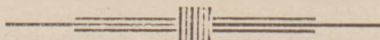
ko, co Chrystusowe, począwszy od pierwszego wyrazu „Bozia“ powiedzianego z pomocą i na kolanach matki. Święci nie praktykowali specjalnych nam nieznanych reguł i sekretów miłości, ale w pierwszym rzędzie prawdy katechizmowe o poznaniu i miłowaniu Boga. Lecz powiecie, że święci, to przecież ludzie, którzy doszli do heroicznego stopnia życia chrześcijańskiego, i znowu jesteśmy na nowo w obliczu cnót nadzwyczajnych i dzieł wielkopomyślnych. Prawdą jest, że w życiu niektórych świętych spotykamy rzeczy nadzwyczajne, które wymagały darów i łask niezwykłych, jak np. życie Doktorów Kościoła, lub tych Pokutników, którzy jeszcze dzisiaj na samo wspomnienie ostrością swą nas przestraszają. Takie objawy nie są jednak czymś istotnym w świętości. Podkreślił to Ojciec Święty Pius XI przy ogłaszaniu dekretu o heroicznosci cnót Brata Benilda z Zakonu Pijarów dziś już wyniesionego na ołtarze „Pokorny Śługa Boży, którego życie składało się ze skromności, milczenia i codziennego szarego spełniania obowiązków. Lecz ileż niecodziennego w tym życiu codziennym! To ciągle powtarzanie się codziennych zajęć, te same słabości, są to naprawdę rzeczy okrutne. Ile siły i energii trzeba, aby się nie dać porwać, przysięść przez jednostajność życia codziennego. Trzeba cnoty niezwyklej nie codziennej, ażeby wypełnić dokładnie, z przekonania, z gorliwością, z pietyzmem wszystkie nasze codzienne zajęcia. Kościół święty nie jest nigdy bardziej sprawiedliwym sędzią i nauczycielem świętości, jak właśnie wtedy, gdy wysuwa na publiczny widok te pokorne światła. Rzeczy nadprzyrodzone, wielkie przedsięwzięcia wzbudzają entuzjazmy, ale życie codzienne nie obfituje w te zjawiska. Ileż to razy mamy w naszym życiu

zdarzenia większej wagi? Bardzo rzadko, a mimo to jesteśmy wszyscy powołani do świętości“. Innym takim przykładem jeszcze bardziej nam bliskim i sympatycznym to święta naszych czasów, święta opatrnościowa, Teresa z Lisieux. Problem świętości zajmował ją od najmłodszych lat, ale dotychczasowe metody świętości były ponad jej siły. Oto co píše w „Dziejach Duszy“: „Wiesz Matko, że pragnieniem moim było zawsze zostać świętą... Lecz niestety! Zawsze stwierdzałam, porównyując się ze świętymi, że między nimi a mną istnieje ta sama różnica, jaką widzimy w naturze między górą, której szczyt gubi się w chmurach, a szarym ziarnkiem piasku, deptanym stopami przechodniów... Wzrastać, to niemożliwe dla mnie, muszę więc znosić się taką, jaką jestem, z niezliczonymi niedoskonałościami, lecz będę szukać dojścia do nieba małą drogą, drogą bardzo prostą, drogą bardzo krótką, a całkowicie nową“ (Rozdz. IX). Święta Teresa z Lisieux jest naprawdę wzorem tej nowej świętości, świętości codziennej. W życiu jej nie ma zjawisk ani dzieł nadzwyczajnych. Nie otrzymuje łask specjalnych, lecz tylko tyle, co każdy inny. Na tej drodze dusza ma głębokie przekonanie o swej słabości, niczego nie spodziewa się od siebie, lecz od Boga.

Trzeba jednak pamiętać, że „Mała Droga“ do świętości to nie mała świętość. Dusza na „małej drodze“ otrzymuje łaski jakie wszyscy otrzymują, ale nie chce zmarnować żadnej, lecz wszystkie wykorzystywać.

Cechą charakterystyczną świętości codziennej jak ją praktykowała święta Teresa od Dzieciątka Jezus jest to, że zmierza w samo sedno świętości, miłość. Świętość bowiem ujęta praktycznie jest zbliżaniem się duszy do Boga przez miłość.

O. Emil k. b.



Więcej piękna

II. Piękno przyrody

Wielki filozof katolicki J. Maritain powiedział: „że piękno jest do rozkoszowania się, ono daje szczęście, budzi miłość, a miłość Boga jest przyczyną piękna w tym, co On kocha”. Piękno powoduje w nas przeżycia estetyczne. Przeżycie to polega na tym, że ku przedmiotowi temu, który sprawia radość dzięki swemu spostrzeżeniu, zwracamy

nego stopnia kultury. Ich osobliwością jest pierwiastek kontemplacyjny, oraz zdolność ujawniania się w każdej chwili, gdy tylko nastęrczy się przedmiot właściwy. Są to uczucia najbardziej bezinteresowne i towarzyskie, człowiek bowiem przeżywający piękno, daje temu wyraz zewnętrzny, a stopień zrozumienia lub niezrozumienia u towarzysza



Piękno gór.

się jak ku źródłu przeżywanej przez nas estetycznej rozkoszy, wczuwamy się, kontemplujemy, naśladujemy wewnętrznie, co nas wyprowadza z ciasnego świata osobistego życia. Na przeżycia estetyczne składają się zarówno pierwiastki umysłowe jak wzruszeniowe. Gra tu także rolę intuicja, od niej zależy mniej lub więcej wydelikacyonowany sąd estetyczny. Wrażliwość estetyczna wraz z sądem składają się na smak estetyczny, wyczucie tego, co piękne, a co brzydkie. Na ten smak estetyczny wpływa cała atmosfera otaczająca wychowanka od najwcześniejszego dzieciństwa. Wszystko, co widzi i słyszy, czego doznaje zapada głęboko w podświadomość, gdzie tkwią korzenie przeżyć estetycznych. W przeżyciach wielką rolę odgrywają uczucia, mają one charakter wyobrażeniowy i wymagają pew-

niej powiększa lub umniejsza przyjemność estetyczną.

Wychowanie estetyczne ma dążyć do tego, by wyrobić sądy estetyczne uwolnione spod wpływu osobistych uczuć. W tym celu musimy już wcześniej zaprawiać dzieci do wartościowania przedmiotów. Pierwszą szkołą uczuć i sądów estetycznych jest przyroda, to piękno naturalne. Ruskin, wielki miłośnik przyrody pisze: „Wszelkie piękno pochodzi od przyrody, ona jest jego najwyższym urzeczywistnieniem i wzorem wiekui-istym. Sztuka jest czymś wielkim wobec nas, czymś maluchnym wobec przyrody”. Jakże bogate w swej różnorodności jest piękno przyrody.

W pięknie przyrody główną rolę odgrywa światło, ono to stanowi o pięknie barw, ich odcieni i harmonii, ono maluje na horyzoncie o wschodzie, czy za-

chodzie słońca te czarodziejskie wprost kolory, którym nie dorówna żaden artysta. Ono osrebrza obłoki i mieni się tęczowymi blaski w kropkach rosy, czy złotem dukatów w falach morskich. Ciepłymi promieniami ozlaca ugory i łany zbóż, bogate w barwy drzewa jesienne, czy osrebrzone śniegiem choiny. To znowu poświęca księżycową czaruje góry i doliny i zapala miliony gwiazd na ciemnym szafirze nieba, pociągając stęsknioną za nieskończonością duszę człowieka.

Drugim czynnikiem piękna przyrody to bogactwo kształtów, przeróżny układ linii i wielkości, symetria i asymetria, perspektywa, wymiary itd. Jakże bogata skala piękna od najmniejszego kwiatka do wspaniałego dębu, od kryształu do gór niebosiężnych, jakie bogactwo linii wśród drzew, jak inaczej wygląda piękny dąb rozłożysty, smukły świerk, czy płacząca brzoza. Jakie przedziwne rysunki strumieni i rzek, jaką gamę uczuć przeżywamy od zwykłego powabu do wzniosłości i poczucia własnego małżeństwa wobec tych wielkości. Przyroda jest niewyczerpanym źródłem dla tych, którzy nie stłumili popędu estetycznego, którzy mają duszę czystą i prostą, a smak niezsputy wyrafinowanymi rozkoszami świata. Trzeba czuć związek z matką ziemią i widzieć we wszelkim stworzeniu braci i siostry, widzieć wyciśniętą na nich pieczęć miłości Stwórcy, odbłask piękna Bożego.

Ileż wzniosłych myśli i uczuć prze-

plywa przez duszę kontemplantującą piękno przyrody, która umie usłyszeć niemą a tak wymowną pieśń stworzenia. Dar ten w wysokim stopniu posiadała s. Zofia Czarnecka i tak w zapiskach swoich, jak w listach dawała temu wyraz. Oto jeden wyjątek z listu do przyjaciółki: „Jesteś na wsi wśród spokoju i piękna, pragnęłabym dla ciebie choć godzinki dziennie zupełnej samotności, gdzieś w polu lub w lesie. Cisza i biały śnieg ...wstłu-



Piękno dolin.

chaj się i patrz. Cisza w przyrodzie jest najzupełniejszą jej pieśnią, bo cisza nie jest próżnią tonów, lecz idealną ich harmonią.

Czym cisza w dziedzinie dźwięków, tym białosc w dziedzinie barwy... a więc stoisz Janusku wobec harmonii.

Kiedy po latach już jako zakonnica leżała na łożu śmierci w Zakopanem, wpatrując się w szczyt Giewontu tak pisała: „Z Giewontem, towarzyszem mego wędrowania, zaprzyjaźniłam się już prawdziwie. — O, jakże dobrze zrobił, że się przedemną, jak długi wyciągnął, bo mi w ten sposób otuchy dodaje i przykładem swoim umacnia.

Wszakże on leży już znacznie dłużej ode mnie, a milczy, bo mu krzyż usta zamyka. Leży, aby swym wielkim kamiennym spokojem głosić potęgę nie-wrzuszonych wyroków Bożych. Pod-
parzyłam już wszakże mego druha, że go to jednak mocno kosztuje, bo nieraz aż się cały mieni i ogniem zapala, zwłaszcza, gdy słońce krwawo zachodzi. Gdy mu czasem zbyt ciężko, wtedy cierpie-
nia swoje zazdrośnie skrywa przeu

piękną, zwraca bowiem uwagę na har-
monię budowy istot żyjących, na bo-
gactwo kształtów w materii nieożywo-
nej itd. Do wrażeń wzrokowych przyłą-
czają się słuchowe i węchowe i razem
powodują stan upojenia tym żywym
pięknem. Tu może grozić niebezpie-
czeństwo, by zmysły nie wzięły góry
nad duchem, który z piękna przyrody
wydobywa to co najwznioślejsze.

Pielęgnowanie kwiatów pokojo-
wych, upra-

wianie grząd-
dek, układanie
bukietów, roz-
czytywanie się
w takich opi-
sach przyrody
jak u Żerom-
skiego, czy
Mickiewicza
przyczyni się
do utrwalenia
pojęcia o pię-
knie i pogłębi
przeżywanie
piękna przyro-
dy. Młodzież
odczuwająca
piękno przyro-
dy nie zechce
jej szpiecić za-
śmiecaniem,
bezmyślnym
deptaniem



Piękno morza.

okiem ludzkim, otulając się szarymi mgłami". (Zmartwychwstanka str. 341).

Nauczmy dzieci obcować z przyro-
dą, nie patrzymy na nią wyłącznie pod
kątem użyteczności, nie żałujmy czasu
na cichą jej kontemplację, a to uszla-
chetni młodzież prędzej niż najwznioślejsze nauki. Dzieci małe uczymy oceniać
jej piękno od elementów najprostszych,
a więc podkreślamy piękno kwiatu, liścia,
drzewa, motyla, ważki... Pomału zesta-
wiamy lazur nieba z ciemną ścianą boru,
żywą zieloność polanki z powagą puszc-
zy jodłowej, gonimy igrające po pniach
promyki słońca, prowadzimy nad brzeg
rzeki, w której tonie zachodzące słońce.
Zwracamy uwagę, jak swoista jest piękn-
ność każdej pory roku, piękno przemian
słonecznych, cuda nocy. Każda lekcja
przyrody już w przedszkolu jest lekcją

trawników, krępować się będzie w swych
brutalnych i zmysłowych wyczynach w o-
bliczu jej majestatu. Przyroda, to natural-
na świątynia Boga-Stwórcy wszechrzeczy.
Prowadźmy do tej świątyni w każdej
wolnej chwili, uczymy dopatrywać się
śladów Jego w każdym tworze, a spłynie
na nią ukojenie, smutki ulecą, przybę-
dzie wiele nowych sił do pracy.

Wszyscy wielcy Święci rozumieli ten
wielki wpływ przyrody; taka św. Teresa
z Avili budowała klasztory w pięknych
miejscowościach. Pierwsi anachoreci u-
ciekali na puszcę w malownicze oko-
lice, a św. Teresa z Lisieux pisze o po-
dróży do Włoch: „Te piękności natury
rozzurzone przez Boga, jakże podniosły
moją duszę ku Ternu, któremu podobало
się udarować podobnymi arcydziełami
ziemię wygnania, mającego trwać tylko

jeden dzień.... Jak wypowiedzieć moje wrażenia na widoki tak wspaniałe, przeczuwałam cuda nieba... kiedyś ten obraz doda mi odwagi, by osobiste moje sorawy za nic ważyć sobie wobec wielkości

i wszechmocy i wielkości Boga.. Jego jedynie kochać będę, skoro serce od czuło, „co Bóg gotuje tym, którzy Go miłują“.

S. B. Żulińska

Miłość

Miłość jest zawiązką sprawiedliwości.

Miłość to cnota Boska, od Boga i z Boga wychodząca, do Boga i przez Boga prowadząca. Miłość to nie przykazanie. To wszystko. Fundament i mury i bastiony i wspaniałe ukoronowanie. Bóg jest Miłością! Więc coś większego, zaniejszego, dostojniejszego ponad Miłość?! Miłość zespała, jednoczy, tworzy Tróję Przenajświętszą. Miłość stworzyła człowieka. Człowiek powstał z Miłości dla Miłości. Człowiek ma stać się Miłością. Ma się przebóstwić, a więc rozpać Miłością, która z Boga jest. Miłość powołała wszechświat do życia, do egzystencji. Miłość jest źródłem życia, dlatego życie bez Miłości jest śmiercią! Miłość zakwitła niemowlęcym płaczem złóbka betlejemskiego, rozdzwoniła akordem słów potężnych, które nie przeminą, krzyknęła głosem wielków z krzyża Kalwaryjskiej Góry. Na Golgocie Miłość zwyciężyła nienawiść. Na Golgocie Chrystus czynem krwawym Miłości przypieczętował Swą naukę o Nowym Przymierzu. „Nowe przykazanie daję wam; abyście się społecznie miłowali“! Miłość jest sołem życiodajnym organizmu naszych dusz i ciał. Bez Miłości życie straciłoby wszelki urok — straciłoby

Boga! Miłość cierpliwa jest, nie gniewa się, lecz przebacza...

Są trzy cnoty Boskie: Wiara, Nadzieja i Miłość, a z tych największa jest Miłość. Wiara i Nadzieja przeminą (po skończeniu świata) a Miłość trwać będzie na wieki. W niebie jest tylko Miłość. Niebo — to Miłość. „Miłujcie nieprzyjaciół wasze, dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą, a módlcie się za prześladowającymi was“. „Miłujcie się synaczkowie moi“! Powtarzam wam miłujcie się“!

„Gdybym Miłości nie miał jestem jako cymbał brzęczący, chociażbym posiadał całą mądrość i piękno i bogactwo i nawet wiarę świętą. Miłość — to nasz cel. Miłość — to nasze szczęście. Miłość — to nasza droga. Miłość — to nasza wieczność.

Miłość jest tą potęgą nieznówną, która wszystko zwycięża. Miłość każe człowiekowi rzucić ponęty światowe, zaprzeć się samego siebie i wzięwszy krzyż swój na każdy dzień iść śladami Nauczyciela Miłości. Miłość zamyka od wieków miliony w klasztorach, nowicjatch, seminariach duchownych. Miłość gna misjonarzy na dalekie misje, do trędowatych, chorych, plemion pierwotnych. Miłość stworzyła Stanisławów, Kostków, Andrzejów, Bobolów, Janów, Beyzymów, Braci Albartów.

Miłość łączy w jedno ognisko domowe dwoje kochających się ludzi, aby wydać wspaniałe owoce pożycia małżeńskiego. Miłość stoi więc na progu naszych rodzin. Miłość każe rodzicom poświęcać się za dzieci, a dzieciom słuchać rodziców. Miłość jest cementem przyjaźni. Miłość tym lepsza jest im szersza. Miłość podnosi nas i uszlachetnia. Miłość wznosi nas na skrzydłach wiary do nieba. Miłość jest motorem naszego uporządkowanego życia.

Podchodź do wszystkich zagadnień z miłością. Miłość pomoże ci rozwiązać najtrudniejsze kwestie. Miłość pozwoli ci być sprawiedliwym i roztropnym. Każdego człowieka traktuje z punktu widzenia dobrego. Miłość każe ci w każdym dojrzeć człowieka, pomoże ci zachować

własne człowieczeństwo. Miłość stanie się najwierniejszym twym sprzymierzeńcem w twej walce o osobiste szczęście i powodzenie. — Na miłość składają się: dobroć, litość, wspaniałość, myślność, łagodność, miłosierdzie. Okazuj miłosierdzie wszystkim! — Bądź miłośny, a miłosierdzia dostąpisz! Przebacza! Nie dla korzyści materialnych, lecz z miłości! Wybaczaj, daruj, poniechaj zemsty, a często dochodzenia sprawiedliwości! Skąd na to siły, moc, posłtek?! Z wielkiej tajemnicy miłości Chrystusa Utajonego w Sakramencie Miłości! Niechaj Miłość sama rozpali w twym sercu ogień, którego żadne przeciwności nie zmożą. Miłość z Boga i dla Boga!

Zbigniew Zielonka.



DO CIEBIE

Do Ciebie wyciągam utrudzone ręce...
Gdy świta poranek na niebie,
Gdy dzwonów na wieży odezwie się serce,
Wyciągam swe dłonie do Ciebie...

Do Ciebie w pozłocie słonecznej błękitów
Tęsknoty i myśli swe wznoszę,
I duszą się skradam do świetlanych
szczytów,
Modlitwę Ci swoją zanoszę...

I szukam, wyglądam i wzywam Cię Boże!
I zginam przed Tobą kolana
W modlitwie gorącej, gdy zapłora żorzo,
Wyciągam swe ręce do Pana!...

Do Ciebie w cierpieniu nachylam swe serce,
W niedoli, w swym smutku i bólu,
Do rąk Twych Najświętszych wyciągam
swe ręce...

Byś we łzach mię Boże utulił.

Przed Tobą w łzach szczęścia i radości
klękam,
Gdy miłosierdzia Twego bezmiar czuję,
Łzą duszy obmywać Twoje stopy Boże,
Za łaski zestane dziękuję.

A kiedy niebo załśni brylantami,
Do Ciebie wyciągam znów ręce...
I lecę i płynę pomiędzy gwiazdami...
I składam przed Tobą swe serce.

Maria Rzepecka.

WSZECHSTRONNE UDAROWANIE

II

Zastanawiano się nieraz nad tym: czy zwierzęta tworzą kulturę? Odpowiedź jednak zawsze wypadła negatywnie. Dlaczego? Czyż misternie usłano z trawek, słomek i piórek gniazda ptaszące, zdumiewająco semetryczna i do potrzeb dostosowana pszczela węza, tajemnicza budowa kopca termitów, artystyczna sieć pajaka lub ciesielsko-zmysłne osiedla bobrów nie są kulturą? Nie, i jeszcze raz nie. I znów powraca pytanie: Dlaczego? Bo praca zwierząt jest pracą instynktowną, a kultura jest działalnością świadomą. Zwierzęta poza tym, gdyby nie wiem jak wysiliły się w swym działaniu, nie są zdolne do nadania mu cechy kulturowej, bo brak im wszelkich danych, jakimi w tym celu obdarzył Bóg człowieka.

Na pierwszym miejscu postawić trzeba rzecz, tak zdawałoby się łatwą do przeoczenia, a jednak tak podstawową, jak ręka ludzka. Aczkolwiek niektóre zwłaszcza zwierzęta potrafią się nadzwyczaj sprawnie posługiwać różnymi organami, bądź to mackami, bądź kleszczami, bądź przednimi odnóżami itp., organy te nie są tak zbudowane, jak ręka człowieka, która od najgrubszych począwszy, nadaże się do wszelkich najsutelniejszych nawet prac, dzięki swemu kształtowi i wysubtelniomemu w niej dotykowi. Czym jest ręka człowieka wie najlepiej ten, kto ją stracił lub ma ją uszkodzoną lub chorą. Ręka to skarb człowieka, to naturalne narzędzie jego pracy. Czyśmy kiedy za wyposażenie nas w taki organ Bogu podziękowali?

Do pomocy ręce staje mózg człowieka w tworzeniu kultury. Kto nie studiował biologii, anatomii lub psychologii, nie ma wyobrażenia, co to za wspaniały organ, jakim sprawnym jest on narzędziem dla duszy ludzkiej, która przy jego pomocy myśli i kieruje wolą. Tak wykształconego mózgu, jaki ma człowiek, nie ma żadne zwierzę. Dzięki niemu działac możemy świadomie, podczas gdy

zwierzę działa ślepo idąc za głosem prymordialnego instynktu. Przez duszę rozumową i cudownie zbudowany mózg wyniósł Bóg człowieka do zupełnie innej kategorii stworzeń niż zwierzęta i umożliwił mu twórczą działalność.

Na cóż by się jednak zdała i ręka i mózg, gdyby dusza człowieka nie odczuwała potrzeb i pragnień, gdyby nie miała celów, do których chciałaby dążyć? Ale już na brak zainteresowań i dążeń skarżyć się nie potrzebujemy, ledwie bowiem zaspokoimy jedno pragnienie, już drugie, trzecie, dziesiąte i setne w nas powstaje, a wszystkie one domagają się, by im zadośćuczynić. Zaspakajając je zaś tworzymy kulturę. Budujemy domy, szycemy sobie odzież, przyrządzamy z uprawianych plodów żywność, piszemy i czytamy książki, gramy i śpiewamy, tańczymy, malujemy, kupujemy i sprzedajemy, — uczymy się i modlimy, słowem pełnimy czynności i stwarzamy wytwory kulturowe. Nie stworzył nas Bóg, jak zwierzęta, zamkniętych w obrębie kilkunastu naturalnych cielesnych potrzeb. Dał nam duszę pojemną, w której pomieścić się może wiele zainteresowań i która nigdy właściwie nie jest w pełni zaspokojoną.

Ale dał nam też Bóg duszę wyposażoną w przeróżne zdolności, dzięki którym stać nas na wykonywanie rzeczy przedziwnych i na ułatwianie sobie pracy. Zwierzę działać może tylko swymi naturalnymi organami cielesnymi. Człowiek naturalny swój organ rękę, oko, ucho, usprawnia przez wynalezione przez siebie narzędzia i maszyny, dzięki którym ujmując sobie wysiłku w ciężkich pracach i wysubtelnia swą działalność tam, gdzie ręka jest jeszcze zbyt prymitywnym organem działania. Weźmy choćby pracę ślusarza, zegarmistrza czy jubiera i spojrzymy na nią od strony narzędzi, jakimi jest wykonywana. A te przedziwne wynalazki chemiczne, fizyczne, techniczne! Zdumiewają nas one, ale to jeszcze

mało; jakże ułatwiają nam one życie i jakimże poważnym są one wkładem w naszą kulturę!

Nie koniec na tym. Wylczyłam wprawdzie tyle własności człowieka, które mu umożliwiają stworzenie kultury, ale pomimo tego śmiało rzec można, że one same nigdyby nie wystarczyły na stworzenie tak wspaniałych osiągnięć kulturowych, jakich ludzkość dokonała bądź to w poszczególnych epokach, bądź to na poszczególnych terenach, bądź to na przestrzeni wszystkich po dziś dzień czasów i terytoriów. Mimo tych wszystkich bowiem możliwości działanie poszczególnego człowieka jest jednak bardzo ograniczone. Cóż by potrafił dokonać, gdyby mu przyszło działać samemu? Niektórzy mniej sprawni i mniej uzdolnieni może by w ogóle mało co zrobili. Ale i najzdolniejsi, gdyby musieli zaczynać łańdżarowo od początku nie wiele by się posunęli w swych życiowych osiągnięciach.

Lecz Bóg dał nam jeszcze dar nad dary: mowę ludzką. Dzięki niej możemy się ze sobą porozumieć, możemy się wzajemnie pouczać i przekazywać sobie nasze doświadczenia. I to nie tylko rówieśnicy między sobą. Możemy zdobyte kultury przekazywać z pokolenia w pokolenie przez tradycję ustną, jak to się działo na przestrzeni długich wieków i przez mowę utrwaloną w piśmie i znakach przeróżnych, a ostatnio i przez nagrane płyty, filmy, nie mówiąc o rysunkach, obrazach i wszelkiego rodzaju symbolach.

Nie stoimy więc wobec świata przyrody, który mamy przetwarzać w kulturę bezbronni. Jesteśmy wyposażeni, wyekwipowani odpowiednio. Jedni mniej, drudzy więcej, ale podstawowe dane do tworzenia kultury ma każdy z nas.

To jednak zobowiązuje. Nie wystarczy powiedzieć sobie: byłem jako tako wyżył — dość mego wysiłku. Nie. Otrzymawszy wyposażenie o wiele bogatsze od zwierząt, musimy też żyć o wiele wyżej ponad poziom czysto zwierzęcy. Nie wystarczy używać tak mózgu, rozumu i mowy dla zaspokojenia tylko potrzeb cielesnych. Trzeba wykorzystać wszelkie uzdolnienia i otwierać duszę na pragnienia wyższe i szlachetniejsze niż zwykłe gębozaphajstwo i groźoróbstwo. Nasze ręce muszą tworzyć wiele dobrych, pięknych dzieł, nasz mózg musi przemysłować nad wzniosłymi i świętymi sprawami, nasza mowa niech służy do czystych rozmów, do zgodnych z prawdą i pożytecznych wyjaśnień, informacji. Z tego całego bogactwa uzdolnień i zdolności będziemy musieli się kiedyś poważnie wylczyć. Tworząc mądrą, dobrą i piękną kulturę możemy być pewni, że nie minimy się z celem, dla którego te właściwości zostały nam dane. Używając ich zaś zgodnie z ich przeznaczeniem dziękujemy Bogu, że nas tak hojnie i wszechstronnie udarował.

Felicja Żurowska.

Pragniesz kultury Katolickiej —

*popieraj KATOLICKI UNIWERSYTET LUBELSKI!
Zapisz się na członka Towarzystwa Przyjaciół K. U. L.*

*Adres: TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ K. U. L. LUBLIN
Aleje Racławickie 14 ————— Konto P. K. O. — II-515.*

Skrupuły – ich skutki – oraz zwalczanie

Wielką przeszkodą w dążeniu do doskonałości są skrupuły sumienia. Skrupulat w najmniejszych uchybieniach dopatruje się grzechów, a w grzechach powszednich widzi śmiertelne. Trapiiony ciągłymi udrękami i niepokojem nawet w Sakramentach Św. nie znajduje ukojenia, gdyż brak mu pokory, ufności w Miłosierdzie Boże i posłuszeństwa względem spowiednika. Zamiast pracować nad wykorzenieniem prawdziwych wad, wciąż analizuje wnętrze swej duszy, czy nie popełnił grzechu śmiertelnego. Sam rozum wskazuje, że jeśli ktoś nie chce popełnić grzechu śmiertelnego, boi się go, wówczas nie ma grzechu ciężkiego, gdyż grzech śmiertelny popełnia ten, kto przestępuje Przykazanie Boskie, albo kościelne w rzeczy ważnej z zupełną rozważą i zezwoleniem. Skrupulat teoretycznie zna definicję grzechu śmiertelnego, w praktyce jednak w stosunku do siebie nie umie rozróżnić, stąd ciągle wątpliwości. Jeśli nie obierze sobie stałego spowiednika, nie zaufa mu bezgranicznie, wówczas popadnie w ustawiczne wewnętrzne udręki, lub w melancholię. Wyczerpany wciąż samoanalizą umysł przestanie logicznie myśleć, a chora wyobraźnia zacznie tworzyć makabryczne obrazy i wmawiać w chorego, że on jest ich sprawcą. Nieszczęśliwy będzie się borykał, walczył, odsuwał złe myśli daremnie. Według orzeczenia psychiatrów w melancholii męka jest istotą choroby. Skrupulat poczuwa się do odpowiedzialności za największe grzechy, ale nie przypomina sobie, by je kiedykolwiek

popełnił. Są to najokropniejsze cierpienia, szczęśliwy, kto ich nie zaznał.

Na tę chorobę psychiczną psychiatria jest bezsilna, nie pomogą żadne lekarstwa, zastrzyki, hydroterapia ani rozrywki. Zakład dla psychicznie chorych, wręcz przeciwny wyrzeże skutek. W tym wypadku jedynym Lekarzem jest Bóg i Kapłan w konfesjonale, stały spowiednik, dobry psycholog, pełen miłości Boga i bliźniego. Skrupulat z cierpień swoich będzie się spowiadał, jako z grzechów rzeczywistych, bo tak mu każe według jego mniemania zawikłane sumienie. Spowiednik darem Ducha Świętego rozwikła je, nieszczęśliwemu przedstawi Stworcę Wszechmogącego jako najlepszego Ojca, pełnego dobroci i miłosierdzia. Męczennik ducha po takiej spowiedzi odejdzie pocieszony i podniesiony wzwyż. Jezus w Komunii Św. dokona reszty. Tego rodzaju chory prowadzony przez cierpliwego i stałego spowiednika może powrócić do stanu normalnego i być jedynostką bardzo pożyteczną, tylko musi słuchać spowiednika i jemu bezgranicznie zaufać. Szatan niejednokrotnie będzie go odstręczał od Komunii Św., kuszony niech pamięta na słowa Zbawiciela: Nie potrzebują zdrowi lekarza, ale ci, którzy źle się mają (Św. Łuk. V, 21).

Oddać się całkowicie Jezusowi, stać się narzędziem w rękę Niepokalanej, czynić jak najwięcej dobrych uczynków z miłości dla Jezusa, choć przyjdą nieraz udręczenia ducha i lęki, ofiarować je Jezusowi, a wówczas zapanuje w umyśle i sercu błogi pokój. **Janina Piasecka**

ŚW. JÓZEF U BERNARDYNEK W KRAKOWIE

Mieszkańcom miasta Krakowa znany jest niewielki kościółek św. Józefa przy ulicy Poselskiej. Jest to kościół klasztorny Sióstr Bernardynek.

Siostry Bernardynki wzięły swój początek od św. Jana Kapistrana, który przybywszy w 1455 r. do Polski wprowadził gałąź franciszkańskiego zakonu — Braci Mniejszych Obserwantów. Pierwszy ich klasztor powstał w Krakowie pod wezwaniem św. Bernardyna i stąd utarła się powszechnie nazwa Bernardynów.



Kościół św. Józefa od strony zachodniej.



Klasztor Sióstr Bernardynek od strony plant.

Wiele pobożnych niewiaśc pragnęło również żyć według tej reguły. Św. Jan Kapistran przyjmował je do Trzeciego Zakonu franciszkańskiego. Niewiasty te niebawem poczęły żyć wspólnie na wzór regularnego zakonu. W ten sposób utworzył się pierwszy klasztor tego zakonu pod wezwaniem św. Agnieszki. Ponieważ jednak początkowo nie miały swego kościoła i chodziły na nabożeństwo



Dziedziniec klasztorny.

do Bernardynów, utarła się również i do nich nazwa Bernardynek. Prócz tego pierwszego, powstały jeszcze dwa dalsze klasztory Bernardynek w Krakowie. Jeden tzw. Kołek i drugi klasztor św. Józefa, o który nam chodzi.



Korytarz klasztorny.

Klasztor ten zawdzięcza swe istnienie dzielnej Siostrze Teresie Zadzikównie — z klasztoru św. Anieszki. Dla swych planów pozyskała sobie brata swego — biskupa krakowskiego — Jakuba Zadzika. Ze spadku po nim przeznaczono 15,000 zł. na fundację nowego klasztoru. Po otrzymaniu zezwolenia od króla Władysława IV i od Biskupa Piotra Gembickiego w r. 1644 zakupiono dworek Lanckorońskich przy południowo-wschodnich murach miejskich z przeznaczeniem na nowy klasztor Bernardynek.

Biskup Gembicki wystawił 50 sierpnia 1645 r. akt erekcyjny nowego klasztoru i kościoła pod wezwaniem św. Józefa. Dnia 11



Wnętrze kościoła.

Kościół był drewniany i niewielki. Dopiero w latach 1694 — 1702 wystawiono kościół z cegły. Kościół jest zbudowany w stylu barokowym; posiada tylko jedną nawę.

Długości ma 25 m., szerokości 12 m. Nawa podzielona jest na 4 przęsła i nakryta sklepieniem beczkowym. W tylnej części kościoła wznosi się, wsparty na arkadzie chór, gdzie zakonnice odprawiają swe wspólne modły. Ołtarzy jest siedem. Całość wnętrza odznacza się prostotą i powagą.

Podobnie prosta jest i zewnętrzna strona. Wejście do kościoła znajduje się z boku, od strony zachodniej. Ta tylko część jest widoczna w całości od zewnątrz. Inne części pokrywają się z zabudowaniami klaszornymi. Dach kościoła siodłowy, kryty blachą. W jego części północnej znajduje się ośmioboczna wieżyczka. Kościół był w 1915 gruntownie odrestaurowany.

sierpnia następnego (1646) roku przeniosło się uroczyscie 6 siostr z klasztoru św. Agnieszki na nową fundację. Miejsce zajmowane przez klasztor Bernardynek przylega swą stroną zachodnią do ulicy Poselskiej; północną do ulicy Dominikańskiej; wschodnią — do plant, a od południa sąsiaduje z Sądem Apelacyjnym.



Obraz św. Józefa stającego łaskami.

Główny ołtarz zrobiony jest z drzewa, w stylu późno-barokowym. Przylega on do południowej ściany kościoła. W środku ołtarza znajduje się dość duży obraz malowany na płótnie, przedstawiający św. Józefa wędrującego z Dzieciątkiem Jezus, które niesie w koszyczku narzędzia ciesielskie.

Obraz ten ma pochodzić z Włoch i miał go malować Caracciolo. Podczas pobytu biskupa Jakuba Zadzika w Rzymie, Ojciec św. Urban VIII miał mu подарować ten obraz i wyrazić życzenie, by zbudował w Krakowie kościół pod wezwaniem św. Józefa.

Obraz ten był od początku fundacji w naszym kościółku św. Józefa; najpierw w drewnianym, a następnie w murowanym.

W ostatnich czasach nabożeństwo do św. Józefa nie tylko nie zanika, ale owszem wzrasta się coraz bardziej. Mały kościółek nie może w marcu pomieścić wiernych na nabożeństwach ku czci św. Patriarchy. Ludzie garną się do tego milego obrazu. Chętnie również nabycją jego podobizny i uciekają się do Boga w swych potrzebach za Jego wstawiennictwem. Do Przełożonej klasztoru napływa wiele listów dziękczynnych za doznane łaski.

Oczywiście najwięcej mają mu do zawdzięczenia same Siostry Bernardynki. W pierwszych chwilach fundacji, które były najeżone trudnościami; w czasie najazdu szwedzkiego, innych wojen, w czasie groźnych epidemii, kiedy Siostry były zmuszone opuszczać klasztor chwilowo i szukać schronienia u dobrodziejów — zawsze doznawały szczególnej opieki od Patrona swego klasztoru. Najwięcej jednak Siostry są wdzięczne za to, że św. Józef okazał się szczególnym Patronem i Opiekunem ich życia wewnętrzznego, życia i modlitwy. Mimo trudności w tym względzie mimo niesprzyjających okoliczności i chwilowych niedociągnięć — św. Józef czuwał, by siostry wiernie stały przy swym powołaniu, by służyły społeczeństwu swą modlitwą i życiem ofiarnym.

Obecnie zgromadzenie liczy 34 zakonnic, spełnia wszystkie akty życia zakonnego, przepisane przez regułę i w dalszym ciągu doznaje troskliwej opieki św. Józefa, swego Patrona.

O. Eliaz od M. B. Szkaplerznej k. b.

Polecamy na marzec książkę:

Św. Józef a człowiek współczesny

napisał O. Bernard K. B.

stron 100

cena 200 zł.

Z a m a w i a ć :

Wydawnictwo Karmelitów Bosych, Kraków, ul. Rakowicka 18

O autorytecie rodzicielskim

Autorytet samochwalstwa. Jest to szczególna odmiana autorytetu dys-tansu, lecz bodaj bardziej szkodliwa... W domu pysznia się i nadymają bar-dziej nawet niż w miejscu pracy, nie robią nic, tylko opowiadają o swoich zasługach i patrzą z góry na innych ludzi. Zdarza się bardzo często, że pod wpływem takiego za-chowania ojca dzieci również zaczy-nają się chępli. Chwalą się wobec kolegów, powtarzając na każdym kroku: tata jest naczelnikiem, mój tata jest pisarzem, mój tata jest komendantem brygady, mój tata jest znakomitością. W tej atmosfie-rze pyszałkowatości ważny tata nie umie się już zorientować, dokąd zmierzają jego dzieci, co z nich wy-rośnie. Zdarza się tak i z matką: jakaś niezwykła suknia, znajomość z ważną osobistością, wyjazd do uzdrowiska — wszystko to daje podstawę do pysznienia się, do stwa-rzenia dystansu w stosunku do resz-ty ludzi i do własnych dzieci.

Autorytet pedantyzmu. W tym wy-padku rodzice zwracają większą uwagę na dzieci, więcej nad nimi pracują, ale pracują jak biurokraci. Są przekonani o tym, że dzieci powinny z drżeniem wysłuchiwać każdego ich słowa, że ich słowo — to świętość. Chłodnym tonem wy-dają rozporządzenia, a co zarządza — staje się prawem. Tacy rodzice najwięcej boją się tego, żeby dzieci nie myślały: tata się waha, tata nie jest człowiekiem stanowczym. Je-żeli tata powiedział: „Jutro będzie deszcz, na spacer iść nie można“, to choćby jutro była piękna pogoda, wszyscy uważają, że iść na spacer nie można. Tacie nie spodobał się jakiś film — zabronił dzieciom cho-dzić do kina nawet na dobre obrazy. Tata wyznaczył dziecku karę, póź-niej wyszło na jaw, że wina nie taka wielka, jak się z początku zda-

wało — tata za nic w świecie nie odwoła kary: powiedziałem, i tak musi być. Każdego dnia tata ma roboty po uszy, na każdym kroku widzi u dziecka przekroczenia ko-deksu postępowania i prześladuje je nowymi przepisami i rozporządze-niami. Życie dziecka, jego zaинтере-sowania, jego rozwój przechodzą obok ojca nie zauważone, nie widzi on nic poza swoim biurokratycznym panowaniem się w rodzinie.

Autorytet moralizatorstwa. W tym wypadku rodzice literalnie zadreczę-ją dziecko naukami bez końca i bu-dującymi rozmowami. Zamiast po-wiedzieć dziecku parę słów, czasami nawet żartobliwych, ojciec siedzi je naprzeciw siebie i rozpoczyna nudną, uprzykrzoną perorę: jest przekonany, że morały zawierają najwyższą mądrość pedagogiki. — W tych rodzicach zawsze bywa mało radości i uśmiechu. Rodzice ze wszystkich sił starają się być cnotliwi, pragną uchodzić w oczach dzie-ci za nieomylnych. Zapominają jed-nak, że dzieci — to nie ludzie do-rośli, że mają one własne życie, które należy uszanować. Dziecko żyje bardziej emocjonalnie, bardziej namiętnie niż dorosły, nie potrafi jeszcze rozumować. Nawyk myślenia rozwija się u niego stopniowo i dość powoli, a ustawiczne perory rodzi-ców, ich zarządzenia i gadulstwo niemal nie pozostawiają śladu w świadomości dziecka. W moraliza-torstwie rodziców dzieci nie potrafią dojrzeć żadnego autorytetu.

Autorytet miłości — to najbar-dziej rozpowszechniony u nas rodzaj fałszywego autorytetu. Wiele rodzi-ców rozumuje tak: dzieci będą po-słuszne, jeżeli będą kochały rodzi-ców, żeby zaś na tę miłość zasłużyć, trzeba koniecznie na każdym kro-ku okazywać dzieciom własną ro-dzicielską miłość. Czułe słowa, ciągłe

pocałunki, pieszczoty, wylewy miłości sypią się na dziecko ponad wszelką miarę. Jeżeli nie słucha, natychmiast je zapytują: „A więc nie kochasz tatusia?“ Rodzice zazdrośnie śledzą wyraz oczu dziecka, domagają się czułości i miłości. Często opowiadają znajomym w obecności dziecka: to taki pieszczoszek, strasznie kocha tatusia i mamusię.

Taka rodzina do tego stopnia tonie w morzu sentymentalizmu i kłiewnych uczuć, że już nic nie widzą poza tym, nie dostrzega wielu szczegółów ważnych dla wychowania w rodzinie. Dziecko powinno robić wszystko z miłości do rodziców.

Na tym niebezpiecznym gruncie wyrasta egoizm rodzinny. Taka miłość oczywiście przerasta siły dzieci. Orientują się one bardzo prędko, że można dowoli zwodzić tatę i mamę, byle tylko czulić się przy tym.

Można nawet ich nastraszyć, wystarczy nadąsać się, zacząć udawać, że się już nie kocha rodziców. Od najmłodszych lat dziecko uczy się rozumieć, że dorosłym można się podlizywać. A ponieważ nie może ono kochać równie mocno i innych ludzi, podlizuje się im już bez sentymentu, na zimno, z cynicznym wyrachowaniem. Zdarza się niekiedy, że miłość do rodziców przetrwa długo, ale wszystkich ludzi poza nimi uważa się za dalekich i obcych, nie ma się dla nich sympatii, ani poczuć koleżeństwa.

Niebezpieczny to rodzaj autorytetu. Hoduje on nieszczerych i fałszywych egoistów. I bardzo często pierwszymi ofiarami takiego egoizmu stają się sami rodzice.

*Wyjęte z: „Wychowanie w rodzinie”.
Nap. Makarenko.*

WYBÓR MAŁŻONKA

Czy uroda i pieniądze — to wszystko co ma cechować i wartościować człowieka? Uroda — która ma na celu zaspokojenie zmysłów, i pieniądze dla zdobycia nowych środków do użycia, rozkoszy.

Kto dzisiaj szukając żony lub męża pyta o... duszę zainteresowanej osoby? Biedna, zapomniana dusza ludzka!

Ks. Konstanty Michalski w ciekawym studium o małżeństwie i rodzinie w świetle filozofii chrześcijańskiej zauważa, że „mówiąc o małżeństwie zapomina się czasem o duszy, jakby istniało tylko ciało“. A na innym miejscu powiada: „Trzeba mieć szlachetne oko, aby wpierv dojrzeć duszę, zanim dojrzy się ciało“.

A przecież dusza w człowieku to rzecz najważniejsza! Uroda, żeby jak czarująca była, za parę, lub kilkanaście lat minie bezpowrotnie. Kamienica, willa, pieniądze, majątek, mogą zniknąć w jednej chwili w kurzawie wojennej. Zostanie niezmieniona tylko dusza, albo szlachetna, albo tylko cień jej cienia.

Nie tak ma wyglądać wybór małżonka. Kościół bogaty w wiekowe doświadczenie, ustanowił dlatego narzeczeństwo, aby młodzi ludzie mieli możność poznać się dokładnie nie tylko od strony zewnętrznej, z uśmiechu filuternego i słodkich półsłówek, ale i od strony wewnętrznej, od zasad życiowych, którymi dana osoba się kieruje, jak również

i od „schodów kuchennych“ a nie tylko ze salonu.

Gdy zauważy kawaler, że jego panna to kobieta, strojnisia, lek-komyślna, goniąca za tańcem i gorącymi uściskami, a zarazem leniwa, gardząca zajęciami domowymi, to już z góry może wiedzieć, jak by wyglądało jego przyszłe życie w małżeństwie z taką istotą. Pieniędzy i pieniędzy; potrzebne, to na kapelusik, to na pantofelki, to na strojne suknie, nieprzemakalne płaszcze, to na przedstawienie do teatru, to do kina itp. A jak pieniędzy nie da, bo czasem jak to w życiu bywa — nie ma, to awantura. Inni mają pieniądze, a ty nie masz, ty nieporadny człowieku. Z kim ja się pobrałam, o ja nieszczęśliwa — tu następują spazmy, lamenty, płacze... a ty chcąc nie chcąc zadłuż się, sprzedaj zegarek a pieniądze być muszą. A dom zaniedbany, dzieci opuszczone, a biedny mąż musi sam sobie wyprać skarpetki, o ile nie ehce aby pociągano nosami w jego towarzystwie.

W wyborze małżonki trzeba być realistą, ale nie jednostronnym, ale też spostrzegającym realną duszę. Same piękne oczy nie wystarczą, ani zgrabnie wykrojone usta wśród dwóch owalnych, delikatnych policzków. Trzeba jeszcze wiernej duszy, miłującego serca i zdrowych, mocnych rąk do pracy. Bo życie to nie zabawa, nie sala baletowa, ani wesola operetka.

Pan Bóg mając stworzyć kobietę, rzekł: „Uczyńmy mu (Adamowi) pomoc jemu podobną“. A więc nie zabawę, pieścidelko, laleczkę, ale

pomoc i to pomoc w rzetelnej pracy nad dojściem do celu tak naturalnego, jak i do celu nadprzyrodzonego.

Niech się też i dziewczęta nie dadzą uwodzić powabom i przymilnionom t. zw. „lwów salonowych“. Ten amant, któregoś poznała przed dwoma godzinami, a teraz już przysięga ci swoją miłość, nie wart jest twójego spojrzenia. A raczej jeśli jesteś sama czysta, spojrzuj mu prosto w oczy i zapytaj się, ilu w swoim życiu pannom ofiarował swą zęświechtaną quasi — miłość? Zobaczysz jak umilknie i delikatnie usunie się od twójego towarzystwa, szukając nowej, naiwnej ofiary, takiego łupu dla swoich poządliwości.

Uważaj też dziewczyno, czy przypadkowo twój narzeczony nie lubi zaglądać do kieliszka i odurzać się alkoholem. Jeśli zauważysz skłonność jego do wódki, to zerwij z nim zawczasu znajomość. Choćby przysięgał ci poprawę, ale bez widocznego skutku w czasie długiej próby, nie wierz mu, jeśli nie chcesz złać swojego życia i twych przyszłych dzieci. Stokroć szczęśliwszą będziesz pozostając nawet w stanie panińskim do końca życia, niż przeżywać tragedię z mężem pijakiem.

I jeszcze jedno. Chcesz wiedzieć jak w przyszłości zachowywać się będzie wobec ciebie twój narzeczony? Przypatrz się, jak zachowuje się on wobec własnych rodziców. Ten kto umie uszanować rodzoną matkę, pomóc jej, ten uszanuje i żonę swoją!

Mirosław Sercański.

Światło wiary

„I znów odezwał się do nich Jezus, mówiąc: Jam jest światłość świata; kto za mną idzie, nie chodzi w ciemności ale, będzie miał światłość żywota“

(Jan 8, 12).

Już z górą 15 lat temu.

Umiłowany przez studentów „dobry“ ojciec Czesław, przybył po południu do klasy z obliczem pełnym radości i zaraz u drzwi przemówił:

— Dziś, moi chłopcy, — będzie piękny wieczór; będziemy oglądać „niebo“ i księżyc przez moją lunetę.

Że jeszcze nie wiele znałem „dobrego“ ojca Czesława (pamiętałem tylko, że mi przysłał dużą i smaczną czekoladę, kiedy leżał chory) i że ani jeszcze nie widział jego lunety, nie prędko mogłem się połapać o co chodzi, i jaką to niespodziankę gotuje nam ojciec Czesław.

Dopiero koledzy wszystko wyjaśnili i od razu „do głowy wbili“: I dobroć O. Czesława i historię lunety, zakupionej staraniem ojca Czesława, dla studentów.

Nadszedł wyczekiwany wieczór. Nie zawiodł. Był cudny. Serce uderzało mocno na myśl, że wreszcie ziszcza się marzenia całych lat: widzieć co „tam“, u góry jest, gdzie gołe oko ludzkie nie dosięgnie.

Przyłożyłem oczy do lunety. Poczulem się jakby w zaczarowanym świecie. A Ojciec Czesław wciąż mówił i pytał:

— Widzisz ów „koniec nosa“ księżycą? To krater Kopernika. Już 230 takich kraterów na księżycu oznaczono nazwą. Czy są pochodzenia wulkanicznego, uczeni jeszcze nie dali ostatecznej odpowiedzi.

Po chwili znów pytał:

— A widzisz „oczy“ księżycą? „Prawe oko“, o średnicy 700 km, to „morze pogodne“ — tłumaczył. „Lewe oko“, ma około 1000 km — to znów „morze deszczu“.

Wiele miał jeszcze ojciec Czesław powiedzieć o „królu“ dnia ziemskiego, którym jest słońce i o jego „dworzanach“, którymi są planety... Niestety, godzina wieczornej rekreacji dobiegała końca. Trzeba było powrócić i dalej „wkuwać“ słówka greczyzny i łaciny.

Po wieczornych modlitwach nie sposób

było jednakże tego wieczoru zasnąć. I rzecz dziwna: wcale po głowie nie chodziły greckie słówka ani nawet po kościach strach przed groźnym profesorem łaciny, lecz jaśniejący księżyc i rozsiane po niebie planety i to natarczywe pytanie: „a co jeszcze jest dalej za nami?“

Nazajutrz, znów na czas wieczornej rekreacji, zostaliśmy zaproszeni przez O. Czesława. Dziś miał nam mówić o cwych „dworzanach“ słońca — Wenusie, Ziemi, Marsie...

Lecz oto stało się coś niespodziewanego. Wszyscy studenci zaproszeni nie pobiegli — jak zwykle — do lunety, ale usiedli naokoło ojca Czesława. Przyobieczał nam bowiem odpowiedzieć na pytanie, jakie mu któryś ze studentów postawił w czasie drogi: „czy jest tak i przyrząd, z pomocą którego można by jeszcze dalej, niż lunetą i teleskopem wdrzeć się w tajemnicę wszechświata?“

Wiedziecie, — moi drodzy, — zaczął mówić Ojciec Czesław, kiedy usiadł. — są trzy światy. Nasamprzód ś w i a t n a t u r y, przyrody. Aby się weni wdrzeć i jego zbadać, do tego służą nam oczy, udoskonalone dzięki wytrwałości uczonych, w mikroskopy, teleskopy. Do zbadań i poznania tego świata służą nam i inne pozostałe zmysły.

Drugi świat — to świat ducha. Tajniki wiedzy, kultura umysłowa, urak pięknego charakteru człowieka, — to wszystko z świata ducha. Aby znów w ten świat wdrzeć się, posługujemy się precennym darem: rozumem. Sami już wiecie do jak wspaniałych wyników rozum ludzki doszedł w dziedzinie wiedzy, kultury, techniki! A jakie jeszcze przed nim szerokie horyzonty...

Ale istnieje wreszcie i trzeci świat, — ś w i a t n a d p r z y r o d z o n y — łaski — świat boży. Aby się móc dostać w obręb tajemnic tego świata, potrzeba

nam jeszcze innego przyrzędu, który się zwie — wiara.

Właśnie wiara święta jest takim teleskopem, który — podobnie jak luneta oko — tak wiara udoskonala nasz rozum, czyni go zdolnym do poznania bożych tajemnic.

Światło wiary jest uczestnictwem w przedwiecznej Mądrości Bożej. Stąd — przez wiarę — tajemnice znane samemu Bóg, stają się naszymi. Pan Bóg dzieli się nimi. Opowiada nam o nich. „Jednorodzony Syn, który jest na łonie Ojca, on opowiedział” (Jan, 1, 18). Opowiedział, gdyż przed przyjaciółmi nie zwykło się mieć tajemnic.

Stąd wierzyć znaczy za prawdę uznać to, co Bóg objawił, a Kościół do wierzenia podaje. W wierze zatem sam Bóg do nas przemawia, a Kościół św. poucza nas, że to jest mowa Boża. A rozum nasz każe nam wierzyć mówie Bożej, gdyż Pan Bóg ani sam oszukany być nie może, ani też nas w błąd wprowadzić.

Gdyby nie światło wiary, nie wiedzielibyśmy, że mamy Ojca w niebiesiech; nie wiedzielibyśmy, że Bóg jest miłością; że my jesteśmy dziećmi Jego; nie wiedzielibyśmy, że Pan Jezus stał się naszym starszym Bratem i że nam wysłużył dziedzictwo w domu Ojca.

Światło wiary świętej wnosi do naszego życia tyle słoneczności, ciepła, tyle zapалу do pracy! Gdyż jasne światło wiary wskazuje nam precudne szczyty żywota wiecznego, do którego zobowiązuje nas dążyć przez każdą chwilę naszego życia. W jasnych blaskach wiary każdy chrześcijanin uświadamia sobie, że nie ma na ziemi „drobnotek”, bo z wszystkiego można budować gmach szczęścia doczesnego i wiecznego.

A jakże w przedziwny sposób światło wiary ułatwia nam odszukanie Boga i „przywłaszczenia” sobie Boga, zjednoczenie się z Nim!

— Proszę ojca, — począł znów któryś ze studentów pytać — więc z pomocą światła rozumu nie możemy odnaleźć Boga?

— I owszem, możemy, — tłumaczył dalej ojciec. Możemy odszukać Boga, egldając i podziwiając twory rąk Bożych i owe cudne nowe światy w przestwo-

rzach i tu, na ziemi, Jej czar i piękno. Ale to wszystko to tylko ślady, że tędy przeszedł Bóg, a przechodząc rozlał krople swego nieskończonego Piękna i swej Nieskończonej Dobroci. Te ślady przejścia Brzęgo mogą nam co najwyżej powiedzieć, że istnieje Bóg, który musi być nieskończenie Piękny i Potężny; mogą nam powiedzieć, czym On nie jest. Światło wiary natomiast stawia przed nami Boga właśnie takim, jakim jest w istocie. Światło wiary zbliża Boga do nas, a nas do Boga. Pozwala nam objąć Boga.

Pamiętam, jak kiedyś, w śliczny dzień, wybraliśmy się na Giewont. Pewni siebie, widząc szczyt przed sobą, nie wzięliśmy przewodnika. I już zdawało się nam, że będziemy wspinać się na szczyt, gdy tymczasem znaleźliśmy się nad groźną przepaścią. Trzeba się było wrócić, gdyż wicczór już się zbliżał. Podobnie z naszym rozumem. Boga nam wskazuje. Ale „zdo-bycie” Boga bez przewodnika wiary, jest niemożliwe, gdyż stracimy drogę i zabraknie nam sił.

— Jeżeli tak cennym skarbem jest światło wiary, Ojcie, to proszę nam powiedzieć, co nam należy czynić, byśmy w blaskach tego światła zawsze chodzili? — Pytano znów „dobrego ojca”.

A Ojciec dalej począł mówić:

— Światło wiary jest darem bożym.

Pan Bóg, w wielkim miłosierdziu swoim, wlewa je do naszych dusz w chwili chrztu świętego. Nam zwierza tylko pielegnowanie światła wiary.

Jeśli pragniecie mieć obfite światło wiary, życie z wiary, to znaczy w dług tego, jak was wiara naucza. Jeśli by kto z was chciał zdobyć pierwsze miejsce w zawodach kolarskich, musi wprw długo i dużo ćwiczyć. Podobnie z wiarą. Jeśli chcecie mieć wiarę żywą, trzeba ją ćwiczyć przez codzienne praktyki wiary. A więc mieć odwagę przeżgnąć się przed posiłkiem. Mieć odwagę uklęknąć na ulicy, kiedy spotkamy kapłana niosącego Pana Jezusa do chorego. Kto jeszcze chce mieć żywszą wiarę, niech żyje, karmi się Komunią świętą, niech weźmie do ręki mszałk i niech z nim przeżywa tajemnice wiary w ciągu roku liturgicznego.

Nade wszystko zaś niech wsłuchuje się w głos Boga, przemawiającego do nas w Ewangelii św.

Powiada św. Teresa od Dzieciątka Jezus: „wystarczy mi otworzyć Ewangelię, a już oddycham wonnością życia Jezusowego, już wiem którądy mi trzeba iść”.

W Ewangelii świętej staje wobec nas ten Bóg, który tak ściśle i serdecznie się z nami zbrałał, że się nam stał podobny i jako starszy Brat pragnie nas prowadzić do świetlanych wyżyn.

Właśnie, by nas zachęcić do pójścia za Nim, przemawia do nas nieustannie tymi słowy: „Jam jest światłość świata, kto za mną idzie, nie chodzi w ciemności, ale będzie miał światłość żywota” (Jan, 8, 12).

Tu przerwał ojciec, mówiąc:

— Słyszycie? Już dzwonią na was...

Rozeszliśmy się.

Kiedy w czasie wieczornych pacierzy odmawialiśmy „Wierzę”, po raz pierwszy uświadomiłem sobie wielką tajemnicę wiary i, w co wierzę... I po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że światło wiary to wcale nie mgliste, świetlne, kosmiczne mgławice, lecz ona to Sam Chrystus, który podaje mi dłoń i chce mię prowadzić drogą żywota do „światłości żywota”.

I uczułem moc granitu, po którym stą-pam i, na którym buduję szczęście.

I słoneczna jasność i ciepło zalały me serce.

Byłem wdzięczny Panu Bogu za bezcenny dar wiary. Meją matkę, że we mnie ją z troskliwością pielęgnowała.

Ojcu Czesławowi za kupioną lunetę i za duchową „ucztę” przy lunecie.

O. Rudolf k. b.

RUCHLIWA

Wpada do pokoju jak burza, trzaska drzwiami, okno otwiera z impetem, nogą prostuje zagięty dywan, kolanem poprawia krzesło, łokciem popycha stół, woła męża, beszta służącą, rozpoczyna jakieś zdanie, urywa w połowie i z głośnym okrzykiem wybiega z pokoju. Nagle przypomniła sobie, że mleko stoi jeszcze na blasze! Człowiek szuka jej w kuchni, tymczasem ona jest już od dawna w piwnicy. Na każdym stołku leży rozpoczęta robotka, końca nie doczekała się żadna; próżnym też byłoby czekać na koniec rozpoczętego zdania. Dla każdego ma pełno zajęć, zleceń i poleceń. Żyje w panicznym strachu, że czas jej ucieka i ciągle stara się gonić za nim. Ale za to każdą sekundę umie wypełnić po brzegi własną i cudzą aktywnością. Na to by weszła w siebie oczywiście nie ma czasu. W jej głowie kręci się nieustający karuzel; myśli pracują jak drożdże, i jeszcze dobrze póki

kołują jej tylko w głowie: gorzej, gdy ku przerażeniu otoczenia, zaczyna je wprowadzać w czyn!

Gdy się do niej mówi, słucha tylko jednym uchem chwytając to i owo i czasem wtrąci słówko, ale i tego słówka wystarczy, aby poruszyć całą rodzinę; ma specjalny talent, aby siać dookoła siebie niepokój i robić rozgardiasz. Najspokojniejszą wodę potrafi rozkołysać burzą, najgłębszą samotność napęlić ruchem, największą ciszę hałasem. W jej pobliżu powietrze drga bezustannie, a raczej wieje ustawicznym wichrem; każdy przedmiot naładowany jest elektrycznością, każdy nabiera życia, drga, tańczy i podskakuje. Życie jest jednym pasmem wyładowań, jednym pasmem nerwowych wstrząsów. Nieustanny bałagan jest jej żywiołem: w nim kwitnie, promienione, czuje się szczęśliwa i zadowolona.

Wyjęte z „Adam i Ewa” nap. Haluschka.

W najdonioślejszej sprawie

Z prawdziwą radością przeczytałem artykuły Miroslawa Serczańskiego p. t. „Dobroć w myśli, słowie, czynie“, zamieszczone w ostatnich numerach miesięcznika „Pod Opieką św. Józefa“.

To uczucie żywej radości rodzi się u mnie stąd, że — według mojego najgłębszego przekonania — autor wspomnianych artykułów dotyczy sprawy najdonioślejszej.

Mimo bowiem dwudziestu niespełna wieków chrystianizmu nie widzimy realizacji „nowego przykazania“, tak dobitnie podkreślanego przez naszego Najsw. Zbawiciela i Mistrza. Miłość, będąca podstawową treścią spuścizny Chrystusowej, nie stała się podstawową cechą wyznawców Chrystusowych. Kiedy konfrontujemy wyrocznie Chrystusową: po tym poznają, żeście uczniami moimi, jeśli będziecie wzajemnie się miłować“ — z rzeczywistą postawą współczesnych katolików, musimy stwierdzić z przykrością, że przygniatająca większość katolików dnia dzisiejszego nie może wykazać się tą legitymacją, której formę i treść sprecyzował bezapelacyjnie nasz Boski Zbawiciel.

Temu stwierdzeniu dał bardzo znamienity wyraz sędziwy arcybiskup Tuluzy, Jego Eminencja książę kardynał SALIEGE, bohater ruchu oporu, były więzień obozów hitlerowskich, dziś otoczony powszechną czcią arcypasterz, płonący zapałem apostołskim, porywającym nie tylko francuskich katolików.

Otóż ks. kardynał Saliege — w swoim ostatnim liście pasterskim

— rzucił oskarżenie katolikom całego świata, streszczające się w gorzkim wyrzucie, że nie wprowadzają w życie ewangelii miłości.

Woła on — jakże bardzo trafnie i słusznie.

„Jesteśmy świadkami wielkiego skandalu!

Jest nas czterysta milionów katolików i — pomimo tego — tysiące ludzi cierpi głód. Za mało jest wzajemnej pomocy. Jedni pędzą za wielę, drudzy za mało.

Braterstwo ludzi jest tylko frazesem! A przecież jest nas czterysta milionów...

Cośmy uczynili?

Czy mieliśmy świadomość naszej odpowiedzialności?

Czy byliśmy żywym świadectwem sprawiedliwości i miłości?

CZY WPROWADZILIŚMY W ŻYCIE EWANGELIĘ

Jeżeli jest tyle zła, czy to nie nasza wina? Czy pokazywałeś innym prawdziwe oblicze Jezusa, prawdziwe oblicze Kościoła?

W epoce, trochę do naszej podobnej, św. Franciszek z Asyżu, przez środki wyłącznie duchowe, za pośrednictwem Trzeciego Zakonu wprowadził pokój do Włoch, gdzie trwała nieustanna walka pomiędzy poszczególnymi prowincjami. — Wylew miłości na podkładzie nadprzyrodzonym wystarczył, aby broń opadła.

Świat oczekuje od nas, Bóg wymaga od nas, abyśmy szerzyli ducha prawdy i miłości.

Czy to czynimy?

Miliją naszą by'o rozpalić świat. Świat jest zimny, świat jest mroźny, czy nie dlatego, że my jesteśmy letni?

Zastanawia mnie głębokie zdziwienie niewierzącego, gdy się znajdzie w obecności prawdziwego chrześcijanina. Poprzez niego widzi twarz Chrystusa. Jest wzruszony. Mówi: „ach“, gdyby to wszyscy byli tacy, jak ten!“...

Czyż aż tak **RZADKIM ZDARZENIEM JEST SPOTKANIE prawdziwego CHRZEŚCIJANINA?!**...

Nie popełnię żadnej przesady, jeśli wyrażę przekonanie, że powyższe natchnione, naprawdę apostołskie słowa księdza kardynała Salliege powinny stać się przedmiotem bardzo poważnej refleksji poszczególnych katolików, powinny znaleźć się w toku dyskusji na zebraniach naszych organizacji religijnych, powinny popłynąć ze wszystkich ambon. Gdyby to zależało ode mnie, poleciłbym wprowadzić tę wypowiedź francuskiego arcybiskupa do wszystkich podręczników nauki religii, jako bardzo znamienity komentarz do rozdziału o miłości bliźniego.

Żeby sytuacja na tym niezmiernie doniosłym odcinku życia zmieniła się radykalnie, musimy za wszelką

cenę — uczynić wszystko, aby przerać dusze i serca katolików do głębi i zasiać tam ziarno **DOBROCI**, tego codziennego języka miłości.

I dlatego tak ważnym jest zagadnienie, poruszone na tych łamach przez Mirosława Sercańskiego. Streszcza się ono słusznie w przyuczaniu do myślenia „kategoriami Chrystusowymi“ od najwcześniejszych lat. Musimy już małe dzieci przyuczać do podchodzenia ku ludziom w duchu Ewangelii.

* * *

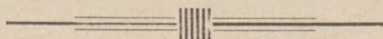
Bardzo poważnie przemyślimy to zagadnienie!

Musimy skończyć ze złą tradycją, która wychowywała nam typ katolika oschłego, zimnego, przywiązanego tylko do pewnych form i formułek, a pozbawionego prawdziwego ducha Ewangelii, który był, jest i będzie nam zawsze **DUCHEM MIŁOŚCI**, pełnej dobroci, która opromienia całe życie pełnowartościowego katolika, nadaje mu właściwy ton, darzy go prawdziwym szczęściem wewnętrznym i najlepiej apostołuje praktycznie w rodzinie, w szkole, w warsztacie, w biurze, na ulicy, wszędzie.

Wszystko, co uczynimy w tym celu, aby przekonać jak najwięcej ludzi, że chodzi tu o pracę, najważniejszą, o sprawę najwznioślejszą, bardzo sobie się opłaci.

Oby tylko jak najwięcej znalazło się tych, co zaczną wprowadzać w życie Ewangelię miłości i dobroci.

H. Mielecki.



Z Polski do Afryki

Dziwne są dzieje powołania zakonnego. O każdym niemal można by pisać obszerną historię. Podamy tu parę szczegółów z życia Magdaleny Pryga, której powołanie kazało iść do Afryki, by tam pracować nad zdobywaniem dusz dla Chrystusa.

Pochodziła ze Spytkowic k/Oświęcimia, urodziła się w maju 1904 r. O jej młodych latach pisze rodzona siostra:

W dzieciństwie spędzonym razem pod dachem rodzicielskiego domu, mało zażywałyśmy radości. Stałym towarzyszem była bieda, a nierzadko i skrajna nędza odwiedzała rodzinne ściany. Magdalena młodsza o kilka lat zdawała mi się być zawsze wesola, beztroska. Twarz jej zdobił uśmiech, dzięki czemu otaczało ją liczne grono przyjaciół.

W dzieciństwie nie zdradzała chęci do życia zakonnego, chyba, żeby to umiejętnie ukrywała przed naszym wzrokiem.

Do kościoła lubiła chodzić bardzo, nie przeszkadzał jej nawet mróz, czy słoty jesienne przy równoczesnym braku obuwia. Wspomnę jak nieraz odradzano jej, by nie szła; nie pomogło! A potem przed ołtarzem Pańskim klęcząc, kulila zsiniałe nóżki pod sukieneczynę, która nie zawsze też była w stanie ogrzać zmarzniętych członków. Czyż by już wtedy „wybrał Pan marne tego świata“?...

Wyraźne pogłębienie życia wewnętrznego, występuje w szesnastym roku życia. I znów nie mogę powiedzieć czy to rozbudzenie się zamilowania do życia bogomyślnego, czy tylko skrytalizowanie od dawna zrodzonych pragnień. W tym czasie zapisuje się do bractw, przepisów stowarzyszeniowych przestrzega jak najstaranniej. Komunia święta staje się dla niej pokarmem niemal codziennym. W doborze towarzystwa jest bardzo oględna. Po niejakiem czasie mamusia zapada

w ciężką chorobę, która powoduje ruinę materialną w domu. Po roku cierpień kończy życie. Sytuacja jest bez wyjścia, zmuszono cię iść



S. MAGDALENA PRYGA

na służbę. Magdzia wyjeżdża do Krakowa. Tam zwiększa jeszcze swoje praktyki religijne, a Karmel staje się jedyną treścią jej życia... Zapisala się do III-go Zakonu Karmelitańskiego. Wybrała sobie imię Teresy od Jezusa. Mówiono, że chce dorównać św. Teresie. Ale świętość trzeba zdobywać wśród trudów, cierpień i przeciwności. Cierpień nie szczędził Pan Bóg tej duszy wybranej. Pracowała ciężko w służbie. W czasie tej pracy zachorowała poważnie — musiała się poddać operacji. Po operacji wypadało odpocząć, lecz nie było za co; musiała wkrótce wrócić do ciężkiej pracy służebnej. Wśród tego wszystkiego uczuwała

głos wewnętrzny wzywający ją do życia regularnego zakonnego. W kraju trudno jej było skutecznie swe zamiary. Posłanowiła przeto udać się za granicę i tam dopiąć swego celu. Jej przyjaciółka z tego czasu, (która również wstąpiła do karmelitanek) tak o tym pisze: „Pytała mnie przy ponownym spotkaniu, czy nie mam zamiaru jechać za granicę do klasztoru? Byłam bardzo zaskoczona tym pytaniem — bo właśnie wtedy „puściłam“ myśl o klasztorze... Magdzia chwyciła mnie za rękę, jak gdyby mnie przytrzymać chciała, abym się jej przypadkiem nie wymknęła, i zaczęliśmy rozmawiać na ten temat. Odtąd widywałyśmy się często. Ze zdziwieniem i podziwem myślałam sobie: Jakto, to jest ta Magdzia, o której tyle słyszałam, że jest tak wielką duszą, do której nie miałam odwagi przystąpić, a tu widzę taką pokorę i prostotę!! Nie potrzeba mi mówić z nią w rękawiczkach, ale śmiało, bez obłonek. Tak się dobrze rozumiałyśmy i zgadzały! To też polubiłam ją szczerze. Spostrzegłam się, jak bardzo umartwioną była Magdzia. Świadczy o tym np. fakt następujący: Na jakiś czas przed wyjazdem Magdzi do Karmelu, pani, której służyła, wzięła sobie inną służącą na zastępstwo, prosząc jednak, aby Magdzia do ostatka u niej mieszkała i wiktowała się. Zastępczyni — skądinąd peczciwa — rozumując po swojemu sądziła, że skoro Magdzia dla pani nie pracuje, jeść nie potrzebuje, i nic jej nie dawała. Magdzia wtedy, mając wyraźne pozwolenie od swej pani, z prostotą sama sobie brała z pożywienia, co jej było potrzebne. Na to zastępczyni pozamykała wszystko na klucz, a klucze pochowała. Biedna Magdzia zostawała w głodzie, ale wołała o tym zająć przed panią zamilczeć, bojąc się, aby zastępczyni nie oberwała, albo co gorsza, nie straciła z tego powodu miejsca. To się nieraz całymi dniami powtarzało“...

Wreszcie nadeszła chwila, że mo-

gła wyjechać za granicę, by wstąpić do Karmelu. Udała się do klasztoru Sióstr Karmelitanek Bosych w Belgii w Matagne-la-Petite. Wstąpiła tam jako siostra konwerska w r. 1935. Nadano jej imię zakonne siostra Magdalena od Dzieciątka Jezus. Po paru miesiącach wysłano ją do nowozałożonego klasztoru misyjnego w Kongo Belgijskim, w miejscowości Kabve. Szukała w Karmelu szczerze własnej świętości. Szukała jej przez życie ofiarne, przez doskonałe zachowanie zobowiązań, powziętych w dniu swych ślubów zakonnych. Przełożonym swoim była po dziecięcemu posłuszna i uległa. Oddana była cichej i męczącej pracy dla dobra domu zakonnego. Czula się przy tym jednak bardzo dobrze. Posłuchajmy, co sama o tym mówi: „Czuję się bardzo szczęśliwa w Afryce, nic nie tęsknię; nie ma zresztą na to czasu. Trzeba się dużo modlić, modlić nieustannie. Pan Jezus mi pokazał jak wielkie jest pole do pracy... Do wszystkiego się przyzwyczaiłam, proszę się o mnie nie martwić... Co do duszy jestem teraz zupełnie spokojna. Prawda, przechodziłam różne walki, ale teraz wszystko się uciszyło, a choć coś znów przyjdzie, to oddalam, jak muchy. Ufam bezgranicznie Panu Jezusowi i Matuchnie Najświętszej i dalej pracuję. Na misjach trzeba być odważną.

Bardzo proszę o modlitwy, bo jeszcze swojej pychy i miłości własnej nie wykorzeniłam, ale wiem, że najlepsze na to lekarstwo, to ukorzyć się. Przecież gdy dziecko rodziców zasmuca, ale po upadku swym serdecznie ich przeprasza, to jeszcze więcej jest kochane, więc stosuję to do siebie i nie martwię się. Ufam i kocham. Sama jestem bardzo słaba, ale z Jezusem wszystko potrafię. Przez tyle trudności przeszłam, nim mi się bramy Karmelu otworzyły, więc sobie teraz tym bardziej wszystko cenię, wszystko mi drogie. Karmel mi rajem. Życie w nim niebiań-

skie. Wprost nie umiem mego szczęścia wypowiedzieć. Trudności i cierpienia nie brak, ale cierpienie nigdy nie zaszkodzi.

Upały u nas straszne. Słońce grzeje bez miłosierdzia, tak, że pracować w ogrodzie możemy tylko z rana. Raz wyszłam o godz. 4 po południu po drzewo do pralni. Zaledwie kilka patyków uzbierałam, gdy musiałam prędko uciekać. Zdawało mi się, że się ziemia pali... i proszę sobie Mateczko pomyśleć, że to tak grzeje cały rok. Pot spływa strugami, tak, że się nasze ubranie — ciągle mokre — na nas rozpada. Z początku ciągle sobie twarz ocierałam, ale teraz zaniechałam tego, nie mam czasu, by ciągle chusteczkę wyciągać; trzeba mi myśleć o sobie, to się o tym zapomina. Praktykuje się to tylko przy wielkich okazjach i uroczystościach... Noce zato zimne, łatwo się zaziębiamy i gorączka zaraz wysoka. Nawet murzyni na te zmiany są nieodporni. Mimo wszystko kocham Afrykę — tu jest moje powołanie“.

Kochała Afrykę i czuła, że... tam jest jej powołanie. Pracowała dla misji i tamtejszego klasztoru. Wobec wielkiej jednak odmienności tamtejszego klimatu, organizm jej okazał się niewytrzymały i często zapadał w chorobę. Pewnego razu, gdy się zdawało, że już nie wyjdzie z choroby, powiedziała w prostocie do Biskupa, który ją odwiedził, że jeszcze nie umrze; po przeniesieniu bowiem do nowego klasztoru będzie dużo roboty i ona będzie od tego potrzebna. Rzeczywiście wyzdrowiała i pomagała wydatnie przy urządzaniu nowego klasztoru. Trud, ofiara i poświęcenie trwało ustawicznie

w jej życiu. Posłuchajmy jeszcze parę szczegółów z jej życia na gruncie afrykańskim:

„Wielka radość, że już jesteśmy w nowym klasztorze, ale bez krzyżu się nie obejdzie. Węże nam wchodzą do domu. Spotyka się również ogromne stonogi, które, gdy człowieka ugryzą to się kilka dni choruje. Ale najgorsze to chyba mrówki. Nie do wiary, co one szkody mogą wyrządzić za jedną noc. Niczego nie można zostawić na ziemi. Kiedyś, gdy jeszcze byłam postulanką, zjadły mi pół peleryny za jedną noc. Dla naszej zaś nowicjuszek-murzynek były to najlepsze przysmaki owe gady i robaki. Chwytała je i w okamgnieniu zjadała“.

Na szarym trudzie i mozołe upływało szybko życie naszej cichej misjonarki. Nie spodziewano się jednak, że prędko miał nadejść koniec. Gdy po Trzech Królach zeszłego roku położyła się do łóżka, sądzono, że to tylko zwykła gorączka malaryczna, która często dawała się tam we znaki. Okazało się jednak, że przyszło zapalenie płuc z opłucną. Stan był groźny. Nasza chora zgadzała się we wszystkim z wolą bożą. Mówiła: „Nie boję się śmierci, niech będzie jak Bóg chce. Nie chcę nic stracić, wszystko z miłości... dla dusz“. Nic się nie skarżyła, choć bardzo cierpiała. Stan się coraz bardziej pogarszał. Dzień 12 stycznia miał być ostatnim jej dniem na tej ziemi. Wieczorem tego dnia przytuliwszy głowę do Matki Przełożonej, z uśmiechem na ustach wspierana modlitwami siostr zakonnych odešla w zaświaty, by tam odebrać nagrodę za swoje trudy życiowe, jakie poniosła dla dobra dusz.

Bratel.



ORNAT

(Refleksja 18)

Wszystko, cokolwiek jest w naszym życiu, powinno być przepełnione miłością. Gdybyśmy widzieli w sobie coś, co nie jest miłością i gdybyśmy nic nie czynili, aby to zło usunąć z naszego życia, — wtedy nie spełniamy obowiązku względem P. Boga, bliźniego i siebie.

Tą szatą miłości, która okrywa wszystkie inne szaty, jest ornat. Kościół wyraźnie o tym mówi przez usta Biskupa, wkładającego ornat na nowowyświęconego kapłana: „przyjm szatę kapłańską, przez którą należy rozumieć miłość, gdyż mocen jest P. Bóg powiększyć w tobie miłość i dzieło doskonałe”.

Wkładając ornat kapłan pamięta, że jest to przyobleczenie się w miłość ku P. Bogu i ku bliźnim. Ta miłość jest dla kapłana „jarzmem wdzięcznym i brzemieniem lekkim”. Właśnie o to prosi, wkładając ornat.

Ornat powinien być z kosztownego materiału i w odpowiedni sposób ozdobiony. To wszystko kosztuje. Dlatego kleryk, przyszły kapłan, przez dłuższy czas przygotowuje w Seminarium Duchownym swój ornat—miłości P. Boga i ludzi, — ażeby, w chwili przyjmowania święceń kapłańskich, ornat jego nie okazał się zwyczajnym łachmanem, ubranym w szkiełka świecące.

Jako kapłan będzie pamiętał przez całe życie, że szkiełka (tak zw. „szklane brokaty”) są zakazane, jako ozdoba dla ornatu. Dlatego gorliwy kapłan skrzętnie usuwa wszelkie „szkliwo” ze swego ornatu, ze swej miłości P. Boga i ludzi.

Aby nie było „szkliwa” na naszym ornacie, trzeba sobie zdać sprawę, jakim powinien być nasz ornat—miłości. Nie trzeba szukać fantastycznych opowieści. Wystarczy przypomnieć sobie słowa Św. Pawła Apostoła.

A więc miłość jest cierpliwa, — znosi cudze niedoskonałości, błędy, wady... Miłość jest łaskawa, — pełna życzliwości bez względu na wzajemność. Miłość złości nie wyrządza, — jest uprzejmą i delikatną. Miłość nie nadyma się, jest bez zazdrości i uprzedzeń, — gdyż pragnie, aby innym było jak najlepiej. — nie przecenia siebie, przez poniżanie innych. Miłość nie jest czi pragnąca. — nie chce wyniesienia siebie dla siebie. Miłość nie szuka swego, — wszystko poświęca dla miłości innych. Miłość nie jest skłonna do gniewu i nie myśli złego. zachowuje pogodę wobec przykrości i zapomina krzywdy. Miłość nie raduje się z niesprawiedliwości a weseli się z prawdy, — jest pełną współczucia. Miłość wszystko znosi i wszystkiemu wierzy, — nie jest podejrzliwa, ufa w dobrą wolę innych do ostatnich granic. Miłość wszystkiego się spodziewa, — nigdy nie wątpi w nawrócenie najgorszego grzesznika. Miłość wszystko wytrwa, gdyż jest w niej siła, mstwo i ofiarność. To jest nasz ornat.

X. K. D.

W NASZYM WYDAWNICTWIE

(Kraków, Rakowicka 18)

wychodzi miesięcznik poświęcony głębszym zagadnieniom życia wewnętrznego pod tytułem „GŁOS KARMELU”. Pojedynczy numer kosztuje 40 zł. Roczna prenumerata wynosi 440 zł.

Indiańska Lilia Niewinności

Podany w naszym miesięczniku (II. 1949 r.) opis snu p. Mieczysława Noskowicza w r. 1939 w Poznaniu o Katarzynie Tekakwitha, nieznannej sobie amerykańskiej Indiance, wzbudził u nas zrozumiałe zainteresowanie. Dziś załączamy wizerunek niezwykłej Indianki z XVII w. oraz kilka dalszych szczegółów o jej życiu według Catholic Missions.

Dziwnym się wydaje, że Katarzyna z dawnych wieków zainteresowała się teraz nieznaną sobie Polską? Czy i w innych krajach Europy dała Katarzyna znać o sobie? W każdym razie w Ameryce Półn. część dla indiańskiej dziewczyny rośnie i mamy nadzieję doczekania się niedługo wywyższenia jej na ołtarze. Prasa amerykańska porównuje Katarzynę z św. Teresą Martin. Zmarła również w 24 roku życia, w opinii świętości wśród swego otoczenia. Czymże na nią zasłużyła? Żyła zgoła w innych okolicznościach, niż św. Teresa. Ospa z lat dziennych zeszpeciła jej twarz. Krewni, u których po śmierci rodziców się wychowywała, bynajmniej nie godzili się na jej ascetyczne życie i koniecznie chcieli wydać ją za mąż po swej myśli.



KATARZYNA TEKAKWITHA

Pod wpływem misjonarzy Jezuitów, którzy naówczas nawracali jej dzielnicę, przyjęła Katarzyna chrzest święty i najwyższy poziom życia religijnego. Jeden z Ojców nosił nazwisko brzmiące po polsku Choleniec, który wysyłając nawróconą Katarzynę na inną stację misyjną, tak pisze o niej do swych konfratrów:

Katarzyna Tekakwitha zamieszka teraz w Saull. Czy zechcą Oj-

owie zając się Jej kicrownictwem? Przekonacie się wkrótce jaki skarb Wam posyłamy. Strzeżcie go dobrze. Niechaj korzysta w Waszym ręku na chwałę Bożą i na zbawienie swej duszy, która z pewnością jest Bogu drogą“.

W tym katolickim osiedlu (nie-daleko Montreal w Kanadzie) spędziła Katarzyna swe ostatnie trzy i pół roku życia. Cieszyła się, że wreszcie mogła żyć w spokoju w duchu swej wiary, w stopniu heroicznym doskonaląc się w cnotach chrześcijańskich. Odnaczała się szczególnym nabożeństwem do Najświętszego Sakramentu, do Krzyża (obrazek przedstawia Katarzynę wpatrzoną w Krzyż) i do Najśw. Marii Panny.

Równocześnie ofiarowała swe umartwienia za nawrócenie grzeszników. Widzimy w życiu wszystkich Świętych, że niezmiernie miłują dusze swych bliźnich i bardzo troskają się o ich losy. Na to wprawdzie kształtują własną osobowość, aby następnie z obfitości swej jaźni czerpać dla dobra otoczenia i dalszych kół.

Katarzyna, skromna do niedawna poganka, na skutek mądrego kicrownictwa swych duszpasterzy, pojęła powołanie apostołskie i oddała mu się bez zastrzeżeń. Na swym

małym odcinku ziemi wypełniła snąć swą misję, skoro na łożu śmierci, po przyjęciu Sakramentów św. wyrzekła żarliwe słowa: Panie Jezus, miłuję Cię (17 kwietnia 1680 r.).

Świat ówczesny, jak i dzisiejszy, gubił się w sprawach doczesnych, które mijają, które zostawiamy za sobą, — a ukryte dusze gorące, bez względu na rasę, płeć, wiek, wykształcenie, równoważąc nadużycia błędzących, by utrzymać go w nieodmiennnej harmonii piękna Bożego! Jak byśmy wyglądali bez ofiar tych, co wyrównują naszą opieszałość?!

Amerykański miesięcznik pt. *Misje Katolickie* podaje w artykule o Katarzynie Tekakwitha spis poważnych osób, władz duchownych i świeckich, które po paru wiekach przerwy zabiegają teraz o beatyfikację swej rodaczki świętobliwej.

Może wizja Polaka w r. 1939 ma i nam przypomnieć cel życia, potrzebę świętości życia, czyniąc sobie podwładne wszystkie zdobycze cywilizacji i postępów świata w porządku przyrodzonym.

„A że dzień na marne minął,
Wstyd i hańba, że się żyło“.

(A. Mickiewicz)

Kazimiera Berkan





Życie katolickie

WATYKAN

* W czwartą niedzielę Adwentu ogłoszono po raz drugi w Rzymie Bullę papieską o Roku Jubileuszowym. Ogłoszono ją przy takich samych ceremoniach jak po raz pierwszy w uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego.

* W przeddzień wigilii Ojciec św. przyjął życzenia świąteczne od Kardynałów i innych Dygnitarzy. Po wyrażeniu podziękowania za życzenia wygłosił przemówienie z okazji Bożego Narodzenia, skierowane do całego świata.

* W wigilię Bożego Narodzenia odbyła się podniosła ceremonia otwarcia Bramy Jubileuszowej w bazylice watykańskiej. Ceremonii tej dokonał sam Ojciec św. Po odśpiewaniu *Veni Creator*, Ojciec św. uderzył trzykrotnie srebrnym młotkiem w zamurowaną bramę przy śpiewie odpowiedniej antyfony. Po odmurowaniu Bramy Ojciec św. trzymając świecę w lewej ręce a krzyż w prawej uklęknął na progu otwartej Bramy, a następnie zaintonował *Te Deum*. Było to właściwe zaczęcie się Roku Świętego. Rozkołysał się wielki dzwon św. Piotra, a wraz z nim wszystkie dzwony całego Rzymu obwieszczając światu Rok zmiłowania Pańskiego. Było to na parę minut przed 11-tą. Po tych ceremoniach Ojciec św. a za nim kardynałowie, arcybiskupi, biskupi przeszli przez Bramę Jubileuszową do kaplicy Św. Trójcy, następnie Ojciec św. skierował się przed Najśw. Sakrament, wystawiony w kaplicy św. Petronilli, a potem do ołtarza papieskiego, skąd udzielił błogosławieństwa Apostolskiego.

* Równocześnie z dokonaniem otwarcia Bramy Jubileuszowej w bazylice watykańskiej dokonano podobnych ceremonii w innych trzech bazylikach rzymskich, a mianowicie: w bazylice św. Pawła — kardynał Tisserant; w bazylice św. Jana — kardynał Micara i w bazylice Matki Bożej Większej — kardynał Verde.

* W Noc Bożego Narodzenia Ojciec św. odprawił w bazylice św. Piotra uroczystą Pasterkę i udzielił wiernym Błogosławieństwa Apostolskiego.

* W Nowy Rok Cały Komitet Centralny do urządzania Roku Świętego nawiedził cztery rzymskie bazyliki celem zyskania odpustu jubileuszowego.

* Wszystkie Seminaria Duchowne w Rzymie, Duchowieństwo świeckie i zakonne, Instytuty religijne wzięły wspólnie udział w zdobyciu odpustu jubileuszowego. Przy nawiedzeniu bazyliki św. Piotra i odmawianiu przepisanych modlitw przewodniczył sam Ojciec św.

* W Nowy Rok Ojciec św. odprawił dla licznie zebranych pielgrzymów z całego świata uroczystą Mszę św. w auli Błogosławieństwa.

* Watykan wydał 8 różnych znaczków z okazji Roku Jubileuszowego.

* W niedzielę dnia 18 grudnia odsłonięto w bazylice watykańskiej pomnik Piusa XI. Pomnik ustawiony jest w kaplicy św. Sebastiana. W uroczystości wzięł udział Ojciec św. Pius XII, który przy tym wygłosił przemówienie, podkreślając zasługi swego poprzednika; w uro-

czystości wzięli również udział liczni kardynałowie, arcybiskupi, biskupi i duchowieństwo z wiernymi.

POLSKA

* Zwykle w pierwszym roku obchodzi się Rok Jubileuszowy w Rzymie, a dopiero w następnym na całym świecie. Tym razem jednak w Polsce obchodzimy równocześnie z Rzymem, a więc od Bożego Narodzenia 1949 r. do Bożego Narodzenia 1950 r. W tym czasie można u nas zyskiwać te same odpusty, jakie się zyskuje w Rzymie.

Odpust jubileuszowy, odpust zupełny, który można zyskiwać dla siebie, lub za zmarłych, tyle razy, ile razy wypelni się przepisane warunki. Warunki następujące:

Spowiedź i Komunia św., odrębna od przepisanej rocznej wielkanocnej i wypełnienie warunków podanych przez miejscowego Biskupa. W Archidiecezji Krakowskiej są one następujące:

Czterokrotne nawiedzenia własnego kościoła parafialnego i za każdym razem odmówienie 6 Ojcze Nasz, 6 Zdrowaś i 1 Wierzę. W samym Krakowie zamiast czterokrotnego nawiedzenia kościoła parafialnego, należy nawiedzić kościoły następujące: Katedrę Wawelską, kościół Mariacki, kościół św. Anny i kościół Franciszkanów. (Ci, którym sprawia trudność wyjście do Katedry, mogą nawiedzić kościół św. Piotra i Pawła). Osoby zakonne i stali mieszkańcy domów zakonnych mogą zyskiwać ten odpust przez nawiedzenie (czterokrotne) własnego kościoła klasztornego względnie kaplicy.

Osobom chorym mogą spowiednicy wyznaczyć krótsze modlitwy.

Na czas trwania odpustu jubileuszowego zawiezsza się wszystkie odpusty, które można zyskiwać za żywych z wyjątkiem odpustu przywiązanej do odmawiania „Anioł Pański“, modlitwy jubileuszowej, odpustów związanych z 40-godzinym nabożeństwem i towarzyszeniem, gdy kapłan idzie z Wiatykiem do chorego.

* W Winawie, powiatu opoczyńskiego, odkryto dawny tryptyk — dzieło pracowni Wita Stwosza. Przedstawia on sceny

z życia św. Stanisława. Remont tego tryptyku przeprowadzony zostanie przez specjalistów w Krakowie.

INNE KRAJE EUROPY

* W holenderskim mieście powstał rozwijający się świetnie katolicki teatr, którego dewizą jest: „Służyć Bogu przez piękno“. Ma on za zadanie pogłębienie kultury religijnej. Teatr ten gra tylko sztuki o podłożu religijnym. Jest to wędrowny. Po przedstawieniach urzędują zwykle dyskusje z publicznością na temat wystawianych sztuk.

* W Belgii zaczęło wychodzić czasopismo pod tytułem: „Międzynarodowy Przegląd Kinematograficzny“. Jest to organ Międzynarodowego Katolickiego Biura Kinematograficznego. Pismo to ma poruszać wartości i rolę filmu w tworzeniu i pogłębianiu kultury chrześcijańskiej.

INNE CZĘŚCI ŚWIATA

* Biskupi argentyńscy wydali wspólny list pasterski do swych wiernych. W liście tym rozwijają prawdę o mistycznym Ciele Chrystusa o rodzinie katolickiej i zapowiadają na październik narodowy Kongres Eucharystyczny w mieście Rosario.

* Ogólne Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych powzięło uchwałę o umiędzynarodowieniu miasta Jerozolimy. Rada Powiernicza przystąpiła do opracowania statutu dla tego miasta.

Z NIWY MISYJNEJ

* W sierpniu powstał nowy klasztor Polskich Franciszkanów w Japonii w dzielnicy Akabane stołecznego miasta Tokio.

* Francuski misjonarz O. Placyd Mayrand obchodził diamentowy jubileusz swej pracy misyjnej w Japonii. Po swoich święceniach kapłańskich, otrzymanych 26 września 1889 r. udał się zaraz na pracę misyjną do Japonii i tam nieprzerwanie już od 60 lat pracuje nad nawracaniem na wiarę katolicką. W ciągu tej pracy ani razu nie odwiedził swej ojczyzny.

JUŻ UKAZAŁY SIĘ WSZYSTKIE
DZIEŁA Św. JANA OD KRZYŻA
DOKTORA KOŚCIOŁA

w nowym tłumaczeniu, którego dokonał
O. BERNARD od Matki Bożej Karm. Bosy

- Tom I. „DROGA NA GÓRĘ KARMEL”, str. 448, 800 zł.
II. „NOC CIEMNA”, str. 212, 400 zł.
III. „PIEŚŃ DUCHOWA”, str. 324, 600 zł.
IV. „ŻYWY PŁOMIEŃ MIŁOŚCI”, str. 316, 450 zł.

Całość w broszurze kosztuje 2.250 zł.

Żądać we wszystkich księgarniach!

W SAMYM WYDAWNICTWIE MOŻNA NABYĆ:

W pięknej, ciepłociennej i mocnej oprawie

Komplety dzieł św. Jana od Krzyża

w czterotomowej oprawie — cena 3.800 zł.

lub w dwutomowej oprawie — cena 3.300 zł.

Zamówienia kierować:

WYDAWNICTWO OO. KARMELITÓW BOSYCH
KRAKÓW, UL. RAKOWICKA 18.

Tel. 554-48

P. K. O. IV-842



TREŚĆ NUMERU

<i>Myśli Popielcome</i>	1
<i>Czas — największa wartość dnia</i>	2
<i>Powołanie do świętości</i>	3
<i>Więcej piękna</i>	5
<i>Miłość</i>	8
<i>Do Ciebie</i>	9
<i>Wszechstronne udarowanie (II)</i>	10
<i>Skrupuły — ich skutki — oraz zwalczanie</i>	12
<i>Św. Józef u Bernardynek w Krakowie</i>	13
<i>O autorytecie rodzicielskim</i>	17
<i>Wybór małżonka</i>	18
<i>Światło wiary</i>	20
<i>Ruchliwa</i>	22
<i>W najdonioślejszej sprawie</i>	23
<i>Z Polski do Afryki</i>	25
<i>Ornat</i>	28
<i>Indiańska Lilia niewinności</i>	29
<i>Życie katolickie</i>	31

„POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA”

MIĘSIĘCZNIK DLA RODZIN KATOLICKICH

Za pozwoleniem Władzy Duchownej i Przełożonych
Zakonných.

L. 392/50

Księzęco Metropolitalna Kuria w Krakowie.

Wydawnictwo OO. Karmelitów Bosych — Kraków.
ul. Rakowicka 18. — P. K. O. Nr IV-842. — Tel. 554-48

Redaguje Kolegium.

Roczna prenumerata 440 zł.

Cena pojedynczego numeru 40 zł.

M-1-10531

1341

Drukarnia „Powściągliwość i Praca” w Krakowie.